

ŚWIAT.

»USZY DO GÓRY!«

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Dziękuję... dziękuję!...

— Nuchimowi wielmożny pan... coś tam...

Pożegnał się Walenty z kupcem i powrócił do żony, którą kupcowa rozmową zabawiając, traktowała makagigami i hamanowem uchem.

— Jedziemy, Józiu...

Pojechali.

Rozkoszną jest sanna jazda w mróz tęgi w sankach odkrytych, gdy zimno ciała nie przejmuje, a tylko w policzki szczypie. Szczypanie to wychodzi na korzyść obliczom niewieścim. Oblicza młode i ładne stają się zachwycającami.

Zachwycająco wyglądała pani Józefa pomimo, że z niej nic więcej i nic innego widać nie było, tylko oczy, nos, usta i czoła

trochę i policzków trochę. Ale oczy świeciły, jakby się w nich ześrodkowały kryształy śniegowe; ale nos, lubo czerwieniony niż zwykle, ustępował jednak zabarwieniu ust, powleczonej mocnym karminem; ale się policzki rumieniły, niby jutrenka,

gdy za chwilę słońce ma się ukazać; ale czoło jaśniało pogodą, rozciągniętą nad łukami brwi klasycznie nakreślonych. Miało to minę tajemniczego wydobywania się z obsłon istoty uroczej.

Walenty z zadowoleniem od czasu do czasu na żonę spoglądał i gdy się sanki w Żarkach przed gankiem zatrzymały, na ręce ją wziął, przez sień przeniósł i przed matką postawił.

— Tak prędko?... — zdziwiła się pani Ożerska.

— Byliśmy w Popieluchach i w Targopolu...

— O?... Czybaście podsędkostwa nie zastali?...

— Przeciwnie... Aleśmy się natknęli na wysokie tony i musieliśmy zrejterować. Tredjakowscy, Karol, a jam się wybrał bez fraka i bez białej krawatki...

— A... — odezwała się pani Ożerska.

Państwo Walentostwo nie dotrzymani rodzicom obietnicy.

Pani Józefa, luboć ciekawa poznać domniemalną bratowę, przez delikatność nie przypominała mężowi o Popieluchach; Walenty zaś nie myślał o tem. Zresztą, ktoś do Żarek przyjechał. Można było jeszcze w dniu następnym obietnicy dotrzymać i z Trediakowskimi znajomość zabrać; lecz w dniu tym przybyły fury Bersona i trzeba było zboże ze spichlerza wydawać. Tak to minęło.

Minął szereg dni następnych.

Nadeszły święta.

Spożywanie wieczerzy wigilijnej przez rodzinę Ożerskich w Popieluchach było zwyczajem, zmienionym w prawo.

Prawo to przestrzegano się z roku na rok oddawna, zaczynając od tego momentu, gdy pani Ożerska, po upadku Warszawy w r. 1831, wraz z wiadomością o śmierci męża na polu bitwy, otrzymała niektóre po nim pozostałości, a między innymi i ów mundur, przez sprawnika skonfiskowany.

Wiadomość nadeszła w grudniu, przez gumienego, który wówczas był nie gumienym, ale ułanem.

Podsędkostwo przygarnęli zrozpaczoną wdowę z chłopakiem ośmioletnim, i przez święta ją zatrzymali.

Takim był początek.

W latach następnych to się powtarzało, aż się jako prawo utrwaliło. Pani Ożerska w Żarkach w ten radziła sobie sposób, że pełnomocnictwo w przyjmowaniu i rozdawaniu kolend i przyzdywanie przy wieczerzy czeladnej powierzała gumienemu, sama zaś z Walusiem odjeżdżała do Popieluch zazwyczaj przysłanemi przez podsędkę saniami.

Tym razem młode małżeństwo z matką wybrało się saniami własnymi.

Wyjechali wcześniej, — dobrze za dnia jeszcze, zrywała się bowiem zadymka, zagrażająca zamiecią.

Droga kopna nie pozwalała jechać prędko.

Zajechali jednak zawczasu i zastali gości sporo: państwo Buwidostwa z dziećmi, Gucia, kogoś jeszcze — osób z dziesiątek. Spożyli wieczerzę w licznym gronie.

Po wieczerzy panie oddzieliły się od panów, dzieci zajęły się kołędnikami; panowie udali się na fajki. Zielony stół stał złożony pod ścianą: nie wysuwano go na środek, raz dla tego, że nie licował z uroczystością wieczoru, powtóre dla tej przyczyny, że po spożyciu karasiów, linów, karpiów, szczupaków rozmaicie przyprawionych, jakoteż barszczu z uszkami, pierożków z kapustą, knyszyków z cebulą, suszeniem, struclów, kuti i rozlicznych dodatków, każdy wolał wydychać się, aniżeli przy stoliku siedzieć i kartami kłapać.

Pomiędzy paniami rozmowa zawiązała się o państwie Trediakowskich, u których Karol święta spędzał. Podsędkowa chwaliła przyszłą synową swoją, pannę Ewelinę, której Pan Bóg poskąpił wprawdzie wdzięków, ale za to nie poskąpił zalet i cnót.

Temat ten służył jej do wywodów szerokich, oprawionych w ramy wzmianek o dostatkach, jakie w domu Tredjakowskich panują.

Pomiędzy panami ta sama materyja z innej ujętą została strony. Podsędek wyszedł z punktu stosunków Trediakowskiego z gubernatorem i prezesem pałaty, stosunków podłożonych tajemniczą politycznej natury głębią.

— Bo to — powiadał — gubernatorowi często potrzeba jeno szepnąć, ażeby świństwa nie zrobił...

— O... tak — potwierdził pan Buwid — mąż poważny, dyplomata mocno akcentowany. Szepnąć tylko, Moskale bowiem, choć Moskale, świństw by się nie dopuszczali, gdyby ich kto od nich odprowadzał... Oni tego nie robią dla przyjemności... Sami sobie zostawieni idą za inklinacją wrodzoną, za popędem natury... Co oni temu koniec końcem winni?... Co winien wilk, gdy owce dusi?...

— Winny owce... — odezwał się Walenty.

— Hm?... — mruknął pan Buwid. — Szwagier szanowny stawiasz kwestyę na gruncie drażliwym... Nie można na nią odpowiedzieć inaczej, tylko, że i owce nie winne...

— W takim razie, na nic się nie przyda szeptanie do ucha gubernatorom i prezesom pałat... Wilcy nas zjedzą, bośmy owce...

Zaambarasowało to nieco eks-marszałka. Odchrząknął, dym z ust wypuścił i odrzekł:

Przeniosłszy przeniósnię na pole odpowiednie, wypadnie dla owiec ratunek w takim z wilkiem postępowaniu, ażeby go ugłaskać i uspić... Właśnie to się za pomocą szeptania najniezawodniej dokonywa... Ugłaskać, uspić: w tem rzecz... Niech się Moskałom zdaje, żeśmy do nich przystali... Co to nam szkodzi!...

Walenty brwi marszczył i wargi zagryzał.

— Co to nam szkodzi obecnie zwłaszcza, kiedy... zdaje się... coś się w świecie kłuje... Coś się kłuje — powtórzył — po Ukrainie bowiem kręcą się ichmościewie, co namawiają szlachtę, przysposabiającą się do wyborów w Kijowie, wystąpić do cesarza z adresem...

— Tego jeszcze brakło!... — wybuchnął Walenty.

— O!... Adresy takie piszą się dla zamydlenia oczów... — wtrącił podsędek.

— Mydlenie podobne prostą drogą mydlących do podlenia się prowadzi...

— Szwagier dobrodziej za gorąco rzeczy bierzesz... — odparł pan Buwid. — Zimnej krwi!... Nam zimnej krwi brak zawsze...

— Chłódźmy więc ją tak, ażeby zlodowaciała...

— Trzymajmy się środka...

— Gdyby to była rzecz możliwa... — podchwycił Walenty. — Chłodząc krew, stosować się musimy do Moskali, którzy w interesie własnym będą ją pomagali chłodzić, chłodzić, chłodzić, aż zastygnie całkowicie... Nie!... — wykrzyknął, jakby się perspektywy tej przeraził. — Szlachta ukraińska adresu podpisywać nie powinna i... nie podpisze!...

Brwi sfałdował. W źrenicach ogień mu błyszczał.

— No... no... — mitygującym tonem odezwał się podsędek. — Nie zechcesz, spodziewam się, guza nowego szukać...

Walenty zmilczał, a czując w sobie podnoszenie się termometru krwi, opuścił fajczarnię i odszedł do dzieci.

Towarzystwo dzieci znajdował w tej chwili za najodpowiedniejsze dla siebie.

Czatowały one przy oknach na kołędników, którym przez niańki wysyłały po groszu na śpiewaka.

Walenty przyszedł w chwili, kiedy im zapasu groszy zabrakło, zasilił ich kasę i pozyskał wdzięczność. Czas mu z nimi dobrze upłynął do chwili, w której pora spoczynku rozproszyla biesiadników po pokojach gościnnych.

Walenty, bawiąc w Popieluchach przez pierwszy dzień świąt, nie wdawał się już w dyskusje polityczne. Spędzał czas z paniami. Z panią Anielą przypominali sobie dawne czasy — oświadczyły owe, między innymi, które odbyć się miały z pistoletem w ręku.

— Byłem przecie przez panią przyjęty i układaliśmy sobie pożycie małżeńskie...

— A teraz z Józją pożycie ułożyło się samo...

— Ułożyło się... — potwierdził Walenty.

— Czytujecie zapewne dużo...

— Rozmaicie się zdarza... Zdaje się, żeśmy kontenci jedno z drugiego...

— Kochacie się... — rzekła pani Julia z stłumionem westchnieniem.

W tym guście i sensie toczyła się rozmowa dalej, aż ją ktoś przerwał.

Na rozmowach, na przechodzeniu z pokoju do pokoju, na kurzeniu fajki w męskiej towarzystwa polowie, na siadaniu do stołu i wstawaniu od stołu, na ziewaniu potrosze, upłynęły święta i, za powrotem do Żarek, Walenty w zupełności powiedzieć miał prawo:

— «Wszędzie dobrze, w domu najlepiej!...»

O! bo też mu było dobrze.

I byłoby dobrze do końca — do starości i do śmierci, gdyby się w nim nie buntował duch.

Wiadomość o adresie, usłyszana od szwagra w Popieluchach, spokoju mu nie dawała — z siodła go wysadziła. W kilka dni po powrocie do Żarek:

— Wyjeżdżam... — rzekł, i dodał: — muszę...

W krótkich słowach żonie i matce opowiedział, o co chodzi. Pani Józefa od razu potrzebę wyjazdu uznała; matka oponować próbowała.

— Trudno ci będzie... Nic nie zrobisz, a skompromitujesz się...

— W każdym razie, obowiązek obywatelski spełnię...

Po Trzech Królach wyjechał.

Nie było go przez cały prawie miesiąc, spędzony przez obie panie Ożerskie w niepokoju, na modlitwie i na prowadzeniu gospodarstwa tak, ażeby po powrocie nic im nie miał do zarzucenia. To go wśród nich obecnym czyniło. Pomagały sobie wzajemnie i wyglądały Walentego wieczoru każdego, towarzysząc mu myślą w wędrowce, niepokojąc się, gdy się zrywały zawieruchy i zamiecie zimowe, uspokajając się, gdy się pogoda ustalała.

Pod koniec stycznia (począł się pamiętny r. 1848) zdarzyła się odwilż, trwająca dni kilka z rzędu. Wyglądało na to, jakby wiosna wczesna zawitać miała.

— Wyjechał saniami... — powtarzały panie w niepokoju — ażeby gdzie na zalew nie trafił.

Mróż jednak wziął na nowo i we wigilią Gromniczej, późnym wieczorem, siedzącym przy stole z robotami paniom słyszeć się dało pobrzękiwanie kantarków końskich.

— Waluś!... — krzyknęła pani Józefa.

Wyskoczyła bez okrycia, bez narzutki, bez chustki i po chwili z tryumfem wprowadziła męża.

Dostało się jej też za to od matki.

Wybryk ten atoli bez następstw smutnych przeminął dla tego może, że podniecenie zneutralizowało wpływ mrozu, albo, że młodość oparła się przeziębieniu, albo jeszcze, że uzdrawiająco wpłynął dobry Walentego humor, w jakim w domowe wstąpił progi.

— Adresu nie będzie!... — oznajmił, gdy przeszły pierwsze momenty wzruszenia.

— Pewno?...

— Jak najpewniej...

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEODOR TOMASZ JEŻ.



TADEUSZ POPIEL.



HUCUL.

TOMASZ LISIEWICZ.



STUDYUM.

K R A J.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH.

(Ciąg dalszy).

WŁADYSŁAW.

Przecież sam rewolucyi nie zrobi.

TADEUSZ.

O tem mowy niema! Tylko po ostatniem powstaniu, rzucono nam nowe hasło pracy organicznej.

WŁADYSŁAW.

Co to jest? ja tego nie znam.

TADEUSZ.

To praca skupiona, cicha, ale wyteżona i solidarna wszystkich warstw społecznych, ku nabraniu sił do odrodzenia umysłowego i ekonomicznego kraju skierowana. Pod tem godłem z początku łączyliśmy się wszyscy, nie wytrwaliśmy jednak długo. Tymczasem wyrastało nowe pokolenie. Zdawało się starszym, że owe godła, pod którymi wychowywali swoje dzieci, wyziębiły ich młodzieńcze porywy; że mają głowy nawet za chłodne, a serca pod równą miarę mechanicznego tętna przykrojone. Pomylili się! Młodość upomniała się o swoje prawa, bo ona musi rwać się do czynu, do ruchu, do życia i użycia nadmiaru swoich sił. Pewna część przyjęła udział w walce tak zwanych pozytywistów z konserwatystami; później mała garstka rzuciła się do socjalizmu, jak sądzę zawsze z myślą zdobycia wolności na tle utopii ogólnej swobody. Aż oto najmłodszy z dorastających zapragnęli budzić ducha narodowego, który według nich gnuśnieje w letargu. Programu nie mają, przynajmniej my starsi go nie znamy. Żądają żałoby ogólnej, manifestacyi, pragną ofiar, któremi niestety wielu z nich już zostało. Nęci ich bohaterstwo i sława męczenników. Pogardzają naszą abnegacyą, niepomni, że kto po cierniowej naszej drodze przechodzi życie nie padając i nie łamiąc się na niej, ten może więcej do heroizmu rościć prawa od tego, który się zdobywa na odwagę śmierci. Czasem bywa łatwiej dzielnie umrzeć, niż dobrze żyć.

WŁADYSŁAW.

Czy pan to wszystko już mówileś tamtemu młodemu?

WANDA.

Ach, kuzynie! sto razy powtarzaliśmy to wszyscy Jasiowi, może nie tak pięknie jak Tadzio, ale podobnie. On nikogo słuchać nie chce.

WŁADYSŁAW.

A zkadże mnie miałby wierzyć?

TADEUSZ.

Boś pan obcy wśród nas, a my zawsze najłatwiej obcym wierzymy. Zresztą im się zdaje, że mają wiele pojęć wspólnych z amerykańkami, przedewszystkiem zaś z krańcową demokracją, której ideał w was widzą. Zapominają znowu, że północne Stany...

WŁADYSŁAW.

To wszystko będzie jednak bardzo trudno i ja nie wiem...

WANDA (do Tadeusza).

Otóż masz, ty szkaradny teoretyku! Jak rozpocząłeś swoje wykłady bez końca, tak nas pozbawisz pomocy, na którą mameczka tak liczy...

ANTONINA.

O nie! mamy pańskie słowo i obstajemy przy niem. Brat mój obznajomił pana potroszę z nastrojem obecnej chwili w naszym kraju. Czego on nie dopowiedział, to pan sam sobie dopełnisz w rozmowie z Jasiem i z innymi. A teraz jeszcze raz prosimy, zajmij się pan nim. Czasu na stracenie nie mamy, bo lada chwila przyjsć tu może, a nie chcielibyśmy, żeby nas tu spotkał; wyglądałoby to na rzecz umówioną, gdy on myśli, że tylko na prośby mamy odwiezła krewnego z Ameryki.

WŁADYSŁAW.

Będę go czekał; szkoda że sam.

ANTONINA.

I tak dosyć zabraliśmy panu czasu.

WŁADYSŁAW.

Ja się coś dowiedziałem i mnie było przyjemnie patrzeć, to ja się nie skarżę. Żałuję, że nie chowałem się z państwem i że my tak... U państwa krewni mówią nie pan, tylko...

WANDA.

Po imieniu! Jeżeli chcesz kuzynku!...

WŁADYSŁAW.

Pani na imię Antonina?

WANDA.

Mówi się zdrobniale Antosia albo Antolka.

ANTONINA.

Zacznij pan od krewnych mężczyzn, od Jasia, a nas zostaw na deser, jak się bliżej poznamy! Do widzenia! (Wychodzą Antonina, Wanda i Tadeusz).

SCENA 5.

WŁADYSŁAW sam, potem LESZYŃSKOJ.

WŁADYSŁAW.

Jabym wolał zacząć od niej! Ladna miss, bardzo ładna! Ładniejsza od Jenny Webster. Mówi się Antosia albo Antolka. Wolalbym mówić moja kochana Antolka i zamiast podać jej rękę, pocałować. Oj, ja się też zarazilem tą chęcią do całowania. Trzeba będzie prędzej wyjeżdżać! (odwrócony, nie widział wchodzącego Leszyńskiego). Kto tam? czy Błoński Jan?

LESZYŃSKOJ.

Pazwoltie sprasit', wy izwolitie gawarit pa ruski?...

WŁADYSŁAW.

Ja po polsku dobrze nie umiem, a po rusku nie rozumiem wcale.

LESZYNSKOJ.

To jak wola szanownego, czcigodnego pana, my sobie będziemy rozmawiać po polsku.

WŁADYSŁAW.

Kto pan i czego chce?

LESZYNSKOJ.

Ja chcę! właściwie nic nie żądam, choć przydałoby się, jak szanuję, a tylko przyszedłem złożyć moje najniższe uszanowanie i zapytać, czy nie mogę się panu dobrodziejowi na co przydać.

WŁADYSŁAW.

Nie rozumiem.

LESZYNSKOJ.

Jestem urzędnik z biura oberpolicmajstra, noszę nazwisko podobne do świętej pamięci szanownej mamy czcigodnego pana, my może nawet krewni!

WŁADYSŁAW.

Pan przecież rosyjanin, kiedy moja matka...

LESZYNSKOJ.

Polką była, wiem, któżby śmiał wątpić! I ja jestem polak; sercem i duszą całą polak, szanowny panie dobrodziej. Przyjąłem prawosławie, ale jako ofiara polityczna! Powiem panu pod sekretem, co mieli takie sprawy o mnie w żandarmerii, co ja mogłem fiut! pojechać na posilenje albo jeszcze gorzej!

WŁADYSŁAW.

A cóż mnie to obchodzić może?

LESZYNSKOJ.

Wiem, że to nie jest sprawa pana dobrodziej! Ale czyliż szanowny pan nie czujesz współczucia nad nieszczęśliwym patryotą, żarliwym katolikiem, zmuszonym odgrywać rolę moskala i prawosławnego? Ja służę w policji! Pan nie wie co to jest służyć w policji! U państwa tam w Ameryce urzędnik policji to obywatel, człowiek pilnujący porządku i prawa. Tu panie to jest szpieg, złodziej, denuncyant, łapownik i jeszcze gorzej, rozbójnik poprostu. To ja muszę panie być tem wszystkiem! A czemu? — bo nie mam środków ztąd uciekać! Za granicą mógłbym być najuczciwszym polakiem i żyć w Krakowie lub we Lwowie z braćmi, wrócić do mojej religii, być patryotą. Tylko cóż, niema pieniędzy! Przychodzę do ciebie czcigodny panie, atkrowienno mówię, co myślę! Pan mnie nie wydasz, nie zdradzisz. Zlituj się nad sierotą, ofiarą prześladowania, daj fundusz na drogę i parę setek chociaż na utrzymanie na początek, a odzyskasz ojczyźnie człowieka i religii katolickiej także gorliwego wyznawcę. Przedtem to ja jeszcze panu dobrodziejowi załatwię małe trudności paszportowe, bo jako syn emigranta i tu urodzony, mógłby pan dobrodziej mieć ambaras. Statja 315 i 316, ugałownawo ułożenja wyraźnie mówi o tem... Tam jest także surowa kara na to! Sybirem grozi.

WŁADYSŁAW.

Wyjdź pan!...

LESZYNSKOJ.

Pan dobrodziej niech nie myśli, że ja straszę, ale jako krewny po matce...

WŁADYSŁAW.

Pan sam nie wyjdzie?

LESZYNSKOJ.

Pan dobrodziej chce mnie oddalić!

WŁADYSŁAW.

Nie! ja pana chcę za drzwi wyrzucić.

LESZYNSKOJ.

Pan dobrodziej niech się nie zapomina! my tu o takich rzeczach mówili.

WŁADYSŁAW (wyjmuje zegarek).

Za dwie sekundy nie masz pan tu być...

LESZYNSKOJ.

Pan żartuje!

WŁADYSŁAW (niosąc go do drzwi za kołnierz).

Sam pan chciałeś!

LESZYNSKOJ.

Nie śmiejcie padnimać ruki na mienia! wy mienia chatieli atwiest i od światawo prawosławia! Ja żałobu padam! (Władysław wyrzuciwszy za drzwi Leszyńskiego, wraca na scenę, przynosi sobie wodę na miednicy z drugiego pokoju i ręcznik i myje się. Wchodzi Jan).

SCENA 6.

WŁADYSŁAW, JAN.

JAN.

Czy pan Władysław Błoński?

WŁADYSŁAW.

Znowu mundur.

JAN.

Moskiewski ale uniwersytecki. Po tem, że panu nieznany, widzę, że dobrze trafił; jestem Jan Błoński.

WŁADYSŁAW.

Aa! to dobrze! ja na pana czekam. Pan jesteś mój kuzyn.

JAN.

Mówiła o tem moja matka i prosiła, żebym pana odwiedził. Przyszedłem widać zawczasie. Pan wstał dopiero.

WŁADYSŁAW.

Nie!

JAN.

Kończy pan ubranie.

WŁADYSŁAW.

Myję się, bo ja brzydka rzecz w ręku trzymałem.

ŻELISŁAW ROMAN ORSZA.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



NAD WISŁĄ.

— Ojciec mój, ja muszę go zobaczyć.

— Niepodobna Heleno, szaleństwem byłoby narażać się na taką wyprawę.

— Narażać? I ty to mówisz, ty, co sam narażasz się bezustannie? Czyż ta robota, którą tak gorliwie spełniasz dla dobra naszej świętej sprawy, nie grozi ci Sybirem, jeśli nie... stokiem cytadeli?

— To rzecz inna, taki mój obowiązek — odpowiedział ojciec, patrząc z uwielbieniem na córkę, która o stoku cytadeli, jak o balu maskowym mówiła. — Za stary, aby broń ująć w rękę, na innym polu czynię, com czynić powinien. Ale ty... pojmuję wprawdzie, ile tęsknisz za Zygmuntem, pobraliście się tak niedawno...

— Nie o tęsknotę idzie, mój ojciec. — I urocza, z «licem bielszem od mleka», ciemnooka kobieta, obejrzawszy się dokoła, niby nie chcąc być słyszana, rzekła: mam zostać matka.

— O, moje dziecko, jakże to radosna dla mnie nowina! — Tu stary z miłością, krzepkiem ramieniem oplótł wdzięczną kibić swej córki.

Nie on powinien był pierwszy posiąść tę tajemnicę, ale gdzie szukać porządku w epoce, w której cały naród zerwał porządek?

Ślicznie wyglądali teraz oboje. Córka spłoniona uroczym wstydem młodej meżatki, kryła oczy pod czarne rzęsy jedwabne, ojciec, czerstwy starzec o białych włosach i obwisłym wasie, serdecznym uściskiem i czułym spojrzeniem, pragnął jej nieobecność męża nagrodzić. Stara lipa, której konary cieniste osłaniały biały dworek od spiekoty i słonecznego blasku, była jedynym świadkiem tej sceny, malującej najwyższą miłość i rodzinną zgodę.

— Lada chwila bić się będą — mówiła kobieta. — Moskale w trzech stron okalają naszych, powiadają ludzi, że do zachodu słońca staną się wielkie rzeczy.

— Wiem o tem wszystkim, Heleno, chciałem ci tylko oszczędzić obawy i niepokoju... Panie! — wyciągając ramiona zawołał — kieruj ich ręką.

— Krzywdę wyrządzasz mi ojciec przypuszczeniem obawy z mej strony. Bóg patrzy na mnie w tej chwili i widzi, że Jemu i Polsce mego bez szemrania na ofiarę oddała. To też dopóki czas, do obozu dostać się pragnę, zobaczyć Zygmunta i o mojem macierzyństwie słówko mu szepnąć. Niech wie, że jeśli syna mieć będę, a ojciec padnie pod moskiewskim bagnetem, to ja tak tego syna wychowam, aby kiedyś, skoro przyjdzie pora i potrzeba, dzielnym duchem, a żelaznym ramieniem, za Polskę i za ojca bił i tępił bez miłosierdzia Moskali. Tak mi Boże dopomóż — z siłą dodała, wzrok uroczyście wznosząc ku niebu. — Gdy mu to powiem, tem dzielniej walczyć będzie, tem pewniej zwycięży.

— Amen — rzekł stary i do głębi przejęty, patrzył w błyszczące oczy swej córki.

Rzekłbyś, złą być musi kobieta, której źrenice tak namiętym ogniem miotać umieją. Ale nie bluźnić jej. To nie złość pozioma, nie histeryi objaw dwuznaczny, to żar miłości ojczyzny, co z płonącego serca, święte wystrzela płomienie. Taką namiętnością pałać, tylko Polki oko zdolne.

Certowano się. Nalegała Helena, a ojciec, świadomy dokładnie ruchu Moskali, widząc jak śmiałem

byłoby przedarcie się do oddziału powstańców, którym zięć dowodził, opierał się długo. Czegóż jednak, gdy chce, nie dokaże kochana przez nas kobieta?

.....
Płyną tratwy. Flis stary
Po Wiselce, po szarej,
Patrzy przed siebie,
Córka cicho z nim radzi,
Ufna, że ich prowadzi
Dobry Bóg w niebie.

Wtem echo z oddali grzmot niesie. Spojrzeli w nieboskłon flisacy — gdzie burza? Ni chmur, ni wiatru, czemuż grzmot rozlega się coraz częściej, coraz głośniej? Zaledwie jeden w falach powietrza zatonie, już za nim idzie drugi i trzeci, a potem jak gdyby warczało w przestworzach.

— Biją się — rzekł flis o białych włosach i wasie obwisłym, a zdjawszy czapkę: — Jeszcze Polska nie zginęła! — zawołał donośnie.

Flisacy odkryli głowy.

— Płynmy ojciec — szepnęła stojąca za starym ciemnooka kobieta. Zdawało się, że dusza z niej wyskoczy.

— Płynąć będziemy — mówił stary — tratwy się wstecz nie cofają, ale do obozu już nam się nie dostać, zapóźno.

— Jak daleko jesteśmy od pola bitwy?

— Zanim słońce zajdzie, zdążymy pod wikliny, gdzie rano jeszcze stał obóz. Wątpię, aby Moskale pozwolili naszym odsunąć się od Wisły.

— Sądysz ojciec, że otoczeni?

— Dziecię drogie, podobno bardzo ciężkie zadanie Zygmunta. — I stary, z boleścią w twarzy, ścisnął ramię swej córki.

— Tyś zwątpił ojciec?! — z przerażeniem zawołała Helena.

— Może stanie się cud, tem większą będzie radość nasza, lecz jeśli Bóg cudu poskapi, trzeba się przygotować Heleno...

— Jam przygotowana na wszystko — i kolana mi padła na mokre, oślizgłe budulce. Za nią inni uklękli.

Stromy, wyniosły brzeg rzeki, głośzył teraz dolatujący odgłos armatnich i rotowych strzałów, zakrywał wznoszące się dymy, tłumiał dzikiego kozactwa wrzaski zwierzęce. Płynęły więc tratwy cichutko, wzdłuż ławy piasków żółtawych. Zaledwie plusk belki sternika i złowrogie gdzieś ptactwa krakanie, słychać wśród szeptu flisaków, błagających zmiłowania bożego...

Ale wnet wody tratwę w dolinę zaniosą, a wtedy zasłoń oczy kobieto, i nie patrz tam, nie patrz, bo skoro ujrysz ten straszny obraz rzezi i mordy, chociażżeś mężna, pęknie ci serce i skonasz, a z tobą zgaśnie poczucie jednego więcej mściciela narodu!

A jakież to bohaterstwo moskiewskiej piechoty, dragonów i kozactwa! Tysiące otoczyły znużoną, głodem wynędzniałą gromadkę. Nazwać-że bitwą, gdzie kij z żelazem, pięść z prochem, z karabinem gdzieindziej myśliwska spotka się strzelba? Zaiste, wielką jest wiara, ale od wiary bagnety silniejsze, twardszą stal zimna, od serc, nawet miłością ojczyzny zagrzanych.



Wystawa muzyczno-teatralna w Wiedniu. — Pokój Chopin'a.

Więc jako zboże na łanie, gdy nawałnica z gradem po niem przeleci, na ziemię legnie, a kłosa im cięższe, tem głębiej wraża się w rolę, tak tam w dolinie, co dzielniejszy, już padli, jeden za drugim, bo straszna siła wali ich i zgniata. Pijane żoldactwo, napasione żywnością, zrabowaną w najbliższym dworze, w dziesięciu na jednego godzi nędzarza. Słabszych na duchu, nie zdolne powstrzymać zachęta i przykład starszyny. Nie tchórzostwem, ale bezsilnością wiedzeni, łamią szeregi i z życiem w gąszczu wikliny uchodzą.

I wreszcie żywych zabrakło. Nie mają już do kogo strzelać i kogo rąbać Moskale, więc rannych dzicz waleczna dobija, trupów po raz drugi na bagnety nadzieja — dla sławy.

Niebawem skończyła się bitwa. Chwałą okryci dragoni i piechota, ustawivszy broń w kozły, dokoła kipiących kotłów, w błogim legli spoczynku. Kozaki tylko, chciwe łupu, jak sęp padliny, z wyciem, piskiem, a piką nastawioną przed siebie, na własną odpowiedzialność pomykają w gąszcze. Tam, niby psy gończe, niedobitków wytropia.

W dolinie cisza zaległa. Nawet jęku konania nie słyhać, bo Moskwa jest mistrzem morderstwa.

Słońce krwawą tarczę za widnokrąg kryje, snąc wstydem rumiane, że mu kazano być świadki i okropnych wyroków.

.....
Nie pilno flisakom do Gdańska, bo tratwy pod wikliną na mieliźnie stoją.

Blady księżyc rzuca srebrne światło na gromadkę ludzi, schylonych nad omdlałym, którego przed chwilą trzej powstańcy na wąskim czółenku przywieźli i na tratwie złożyli.

Siwy flis odwrócił się i w dłonie twarz ukrył.

Ciemnooka kobieta ukłękła przy konającym i słowa pociechy do ucha mu szepcze. To mąż jej.

— Obowiązek Polaka spełniłeś, nazwisko twoje na złotej karcie ojczyzna zapisze, a Bóg cię przyjmie w poczet zbawionych. O mnie się nie troszcz, Zygmuncie, patrzaj, wszak nie rozpaczam; gdy ciebie zabraknie, życiem twego dziecięcia żyć będę.

Rozwarł dowódzca szeroko powieki, chciał mówić, ale mu siły nie stało. Wzrokiem pełnym miłości dla żony zatoczył, podaną sobie jej rękę do ust spieczonych przycisnął i na sercu swem złożył.

Schylała Helena twarz do jego twarzy, jak gdyby jeszcze dać miała jakieś zlecenie, ale już duch bohatera uleciał.

A wtem: «Moskale!» — ktoś wołał z obecných.

Kozacy wpływ zdążali na koniach ku tratwom.

— W czółno i na wodę! — krzyknął na trzech powstańców flis stary.

— Córka wasza z nami! — odparł jeden.

— Zatoniecie we czworo na tej łupinie.

— Lepiej jej panie z nami zatonać, niż wśród tej czerni żywą pozostać. Na Wiśle Bóg ją obroni, a tu...

— Rozumna rada, Heleno — rzekł stary.

— Nie ojczy, Zygmunta się nie bał, i ja ich się nie ulękę, cokolwiek się stanie, ciebie nie opuszczę.

Zapóźno już było na dalsze narady. Kozactwo podpywało pod tratwy.

— Zatopimy ich — szepnął któryś z flisaków i w silne ręce ujął kłodę dębowa. Chłopcy! do drągów, kto w Boga wierzy!

Flisacy i powstańcy zajęli wnet obronną pozycję u skraju tratwy. Flis stary z zanadru sześciostrzzałowy rewolwer wydobył i córce podał.

— Na ostatnią chwilę — rzekł — inaczej, jak między oczy, nie strzelaj. — Teraz sam drewna kawał uchwycił i za innymi stanął.

Gdy pierwszy kozak, łeb zdarłszy koniowi, tuż pod tratwę się zbliżył, w mig kłoda ciężka na kark mu spadła, że runął pod wodę, a zwierzę swobodnie wracało do brzegu. Z drugim i trzecim nie lepiej się stało. Nie przygotowani na takie przyjęcie napastnicy, byliby się chętnie cofnęli. Tchórze na lądzie, tu, w wodzie, tem mniej mieli odwagi. Ale starszy, z Georgiem wiszącym u piersi, ufny w liczebna przewagę, zawołał:

— *Miatieżniki, sukinsyny! ubiwał' ich rabiała!* — I opłynął tratwę dokoła, innych zachęcając przykładem.

Teraz ze wszech stron trzeba było bronić dostępu. Kilkunastu jeszcze kozaków poszło pod wodę, ale reszta już się wdrapywała na tratwę. Gdy zabłysły janczarki, a piki spadły na karki bezbronnych, nie myśleć było o dłuższej obronie. Kilka minut upłynęło za ledwie, a już pocięci flisacy i powstańcy, zaprzestali walki. Stary, o wasie obwisłym, legł jeden z pierwszych z przerażoną głową, tuż obok zięcia.

I jak przed chwilą przy mężu, tak teraz przy ojcu klękła Helena. W zamieszaniu i zmroku wieczornym, nie dostrzegli jej dotychczas kozacy, lecz gdy się za rabunkiem po tratwach rozbiegli, już jeden zawył pijany:

— *Uh, kakaja krasawica, wot nam pogulał!*

— *Pokażi brat* — wrzasnął drugi.

Instynktownie spojrzła ciemnooka przed siebie, jakgdyby szukając pomocy. Nad nią Bóg, dokoła martwe trupy i fale wiślane.

Więc ścisnęła w dłoni rewolwer, a gdy pierwszy zwierz dziki łapę do jej białej szyi wyciągnął, padł strzał między ślepią zuchwalca i zwałił go Helenie pod nogi.

Czy widzieliście, jak mała ptaszyna, w szponach jastrzębia, dzióbek rozdziawa, pazurki drobne przed siebie wyciąga? Banda rozwścieczonego kozactwa na jedną kobietę!

Z za barykady trupów, pięć strzałów padło z kolei i pięciu, na wdzięki Polki łakomych, legło kozaków. A teraz któż ją obroni? Kto wydrze z rąk rozbewstwionej tłuszczy, co się po koleżeńsku piękną zdobyczą dzielić gotowa?

— *Nie wjdiosz* — wrzasnął starszy z Georgiem, wściekły, że go jedna kobieta tylu ludzi kosztuje. I już inni mieli Helenę porwać w swe łapy, gdy szósty strzał rewolweru ugodził w serce ciemnookiej kobiety. Nawet teraz nie drgnęła jej ręka.

Wysoko już księżyc wzniosł się na niebie. Tratwy pod wikliną na mieliźnie stoją. Wśród spokojnych fal szarej Wiśłki, płynie krwi strumień szeroko, jako świadectwo straszego gwałtu, któremu nie dać wiary w drugiej połowie XIX wieku.

S. GRAYBNER.

KWESTYE SPORNE.



II.

Galicya jest krainą pomysłów i wynalazków.

W niej to, a nie gdzieindziej wynaleziono «stanie i stać chcenie», «szlachetną denuncyację», «nową erę» ländersbankową, kandydatury włościańskie do rady państwa, »nieprzerwalność powstania» «nową Targowicę», «straż pożarną», serwilistów, warcholów itd. Ona

jest matką agentów emigracyjnych, jej zawdzięczamy komitet mickiewiczowski, ona to wypielegnowała bank włościański, ona raki do ryb zaliczyła, ona chciała urządzić polską wyprawę do Afryki, ona wreszcie jednocześnie z wynalezieniem piernika higienicznego wynalazła... hiperprodukcję inteligencji.

Kto dał życie owej hiperprodukcji inteligencji, przypomnieć sobie nie mogę, to wiem tylko, że była ona «wysoko urodzona», że do chrztu trzymały ją znakomitości polityczne i naukowe.

Jako *simplex servus Dei* przyzwyczałem się wierzyć *in verba magistri*, a ponieważ nie kto inny, tylko magistrowie zapewniali, że kraj nasz za dużo produkuje inteligencji, chciałem przeto na prawo i na lewo wołać i pisać: narodzie, nie ucz się! narodzie, staraj się zgłupieć, boś za mądry! narodzie pamiętaj, że głupstwo rozum zjadło! i t. d.

Zacząłem nawet pisać na ten temat uczoną rozprawę «o złym wpływie wykształcenia na rozwój społeczeństwa», a jako lubiący popisywać się erudycją, wertowałem stare księgi dla wynalezienia cytat odpowiednich. Już w pocziwym Knapieszku znalazłem cenną pomoc w przysłowia. Ponieważ «trudna z głupim sprawa» i «głupiemu daj pokój», ponieważ dalej «im kto głupszy tem śmielszy», «im kto głupszy tem bezpieczniejszy», a «głupi bierze, mądry daje», — przeto widziałem już zaranie lepszej przyszłości dla narodu, skoro się otrząśnie z hiperprodukcji inteligencji. Rysiński także mnie pocieszył twierdząc, że «jeden głupi dziesięciu mądrych zwiedzie, a dziesięć mądrych jednego głupiego nie». Zajrzałem jeszcze do jednego zbioru przysłów i wyczytałem, że «głupim być najlepiej» (*Gemmae Latinae*, przysłowia Ignatii a S. Stanisłao). Byłbym zadowolony zupełnie z mych poszukiwań, gdyby nie to, że jak natrętna osa, wciąż brzęczało mi nad uchem przysłowie: «głupich nie trzeba siać, sami się rodzą...»

Wie o tem wójt i cała gromada, że jak raz się wkradną do serca lub umysłu bakcyle wątpliwości, to ich już żadnym prozkiem karbolowym nie zdezynfekcjonujesz. Cóż więc dziwnego, że przysłowie o «sianiu» głupich wstrząsnęło potężnie tak mocno w mem przekonaniu zbudowanym gmachem hiperprodukcji. Wątpliwość jedna spłodziła drugą, trzecią i dziesiątą — wątpliwości bowiem mnożą się jak króliki, projekty, resursy i kalendarze. — Rozpocząłem studyować kwestyę na gruncie, czyli poszukiwania, niszczyć libry papieru na spisywanie «życiowych dokumentów». Rozesłani przymownie specyjalni agenci zbierali dane statystyczne w różnych okolicach kraju. Rezultat był taki: na 10,000 pełnoletnich płci obojej i wszystkich wyznań było całkiem głupich 1925, średnio głupich

4912, półrozsądnych 1608, rozsądnych 1212, rozumnych 315, inteligentnych 28. Odetchnąłem, tem więcej, że w rubryce inteligentni znajdowałem często uwagę wyrażoną następnymi znakami: ? — ??! — $\frac{1}{2}$ — $\frac{2}{3}$ — $\frac{1}{42}$.

Ledwie skończyłem pisanie powyższego ustępu, kiedy mały stolik stojący pod oknem zaczął gwałtownie wirować. Przekonałem się, że duch wynalazcy hiperprodukcji inteligencji ma ochotę ze mną pogawędzić. Zważywszy, że duchy w stolikach są mniej szkodliwe od duchów włączających się po nocy, z chęcią przystałem na propozycję. Oto stenogram z naszej rozmowy:

— Dobrodzieju — zaczął duch — pomieszalesz ze sobą rozum i inteligencję. Ja nie chciałem siać głupich, ale oponowałem przeciw nadmiarowi inteligencji patentowanej...

— Duchu łaskawy — odrzekłem — mylą cię pozory. Pojmuję ja dobrze, że można skończyć uniwersytet, a być głupszym od chłopca, jak z drugiej strony można nie umieć czytać, a prześcignąć zdrowym rozsądkiem doktora filozofii. Ale chociaż dożył ziemniak zaspokoi głód i bez dodania soli, to solą jednak dopiero jest smaczny. Tą solą dla rozumu wrodzonego jest nauka — im mniej będziemy mieli inteligencji, tem więcej będziemy jedli ziemniaków bez soli. Rozum jest zdolnością, talentem, a cóż n. p. z talentu malarskiego, pisarskiego, jeżeli nie przebywa studyów, nie uczy się, nie kształci, nie doskonali?

Chrzakanie ducha zatrzymało potok mojej mowy.

— Teorya twoja dobrodzieju — zaczął po chwili — jak każda teorya, utyka na brak praktyczności. Przyznaję jej w zasadzie słuszność, ale powiedz mi dobrodzieju po prostu, po chłopsku, co pocniemy z powiększającym się corocznie zastępem inteligencji? Na każde miejsce mamy 100 kandydatów, za rok będziemy ich mieli 110, za dwa 120 itd. Połowa przepadnie, zginie, albo będzie musiała wziąć się do zajęć nieodpowiednich.

— Przepraszam — przerwałem — a co jegoś nazywa nieodpowiednim zajęciem? Więc człowiek, który skończył uniwersytet lub gimnazjum, nie może być kupcem, przemysłowcem, dzierżawcą, rządcą, a choćby rękodzielnikiem? Więc każdy co skończył uniwersytet musi bębnować uczyć, złodziejów bronić lub sadzić, — każdy ma się pchać do urzędów?

To jedno, kochany duchu. Ale gdybyś nawet uważał za ułóżenie dla tych, co n. p. studyowali ekonomię polityczną, zajmować się kupiectwem, — to oświadczam ci stanowczo, że miejsc u nas nie braknie, a coroczny przybytek inteligencji nie wystarczy na potrzebę kraju.

Ileż bowiem tej inteligencji corocznie przybywa? Z uniwersytetów wychodzi przecięciowo 500 młodych ludzi (znaczna ich część nie kończy studyów), gimnazya wydają maturzystów (wysoko liczę) 700. Ponieważ z tych ostatnich $\frac{3}{4}$ idzie do uniwersytetów, rocznie więc przybywa inteligencji ze szkół średnich i wyższych co najwyżej 700. Część jej idzie na rolę, część przeżywa powoli fortunę przodków, część marnieje bez powodu, cząstka wychodzi za granicę Galicyi, inna cząstka szuka chleba w «nie-



Z wystawy muzyczno-teatralnej w Wiedniu. — Dział autorów dramatycznych.

inteligentnych» zawodach, częśćka zapewnia sobie byt dobrym ożenkiem, częśćka znajduje prywatne zajęcia, lub oddaje się sztuce, dziennikarstwu i t. d., częśćka wreszcie przenosi się do wieczności. Zostaje więc dajmy na to 500 poszukujących «urzędowych» zawodów «inteligentnych». Stu pięćdziesięciu doktorów medycyny i teologów trzeba z tego wyłączyć, bo i jedni i drudzy znajdą łyżkę strawy, a często bardzo dostatnią i smakowitą. Zostaje więc do umieszczenia 350.

Ponieważ ludzie są śmiertelni, więc opróżniają się miejsca. Liczba tych miejsc znaczna, ale nie byłaby wystarczającą. Społeczeństwu jednak rozwijającemu się, przybývają potrzeby. Zwiększa się więc liczba gimnazyów, sądów, — przybývá urzędów administracyjnych, komunikacyjnych, autonomicznych. Rozwijają się lub powstają instytucje finansowe, przemysłowe — zwiększa się sieć kolejowa, telegraficzna — przybývają telefony, przybýły kasy chorych, — powstają instytucje filantropijne na wielką skalę — powstają składy zbożowe, stacje kontumacyjne, kasy zaliczkowe. Wszędzie potrzeba ludzi wykształconych — i jest ich nie za wiele, ale za mało.

...Stolik zaczął gwałtownie pukać i skakać ze złości.

— Hola dobrodzieju! — zawołał po chwili. — Wszystko co mówisz, to są *lari fari, bzdurum bzdurum*, — twoje dowodzenia nie warte torby sieczki w obec rzeczywistości.

I tu zaczął mi wyliczać cały szereg imion i nazwisk ludzi inteligentnych i pracowitych, często bardzo zdolnych, wprost imponujących zdolnościami, a którzy w biedzie, w nędzy prawie, włoką swój żywot, zazdroszcząc już nie piekarzom, rzeźnikom i właścicielom knajpek, ale kramarzom i handelesom.

Duch wygadawszy się odsapnął, kontent ze zwycięstwa. Nie dałem jednak za wygraną, ale wzięwszy XI tom «Wiadomości statystycznych» podałem go w milczeniu duchowi. Widząc, że nie rozumie, o co chodzi, tak rzecz dalej prowadziłem:

— Przejrzyj łaskawco tablice statystyczne, wyjaśniające stan urzędników gminnych w 37 większych miastach Galicyi, z wyłączeniem Lwowa i Krakowa. Przyznasz kochanie, że posady sekretarzów, urzędników conceptowych, kasyerów i t. d., wymagają inteligencji. Otóż na 46 sekretarzy i ich pomocników, zaledwie 17 skończyło gimnazyum, a między nimi 10 było na uniwersytecie; inni pokończyli po parę klas gimnazyalnych, a siedmiu zaledwie szkoły ludowe. Nie wymieniam miasta, ale znajduje się takie, które płaci 1600 złr. sekretarzowi (z dodatkami pięcioletnimi dojdzie do 2000 złr.), posiadającemu maturę... ze szkoły ludowej. Dowiesz się dalej, że niektórzy z urzędników pobierających 600 do 800 złr. byli poprzednio piekarzami, służyli «przy gospodarstwie»

lub w «wojsku». Z urzędników rachunkowych i kassowych (koło 60) w r. 1888 było zaledwie dwóch, co skończyli gimnazyum, a tylko połowa z nich posiadała jakie takie egzamina z rachunkowości lub kassowości.

Przejdź teraz, kochany panie, mniejsze miasteczka, wszystkie urzędy autonomiczne, instytucje finansowe, zakłady filantropijne, przemysłowe, komunikacyjne i t. d., a przekonasz się, że w nich masz prawie taki sam stosunek pomiędzy ludźmi co ukończyli uniwersytet lub gimnazyum, a takimi, co swoich głów za młodu oszczędzali.

To więc, że twoi ludzie inteligentni i zdolni nie znaleźli odpowiedniego kawałka chleba, wytłumacz sobie nie brakiem miejsc, nie hiperprodukcją inteligencji, ale hiperprodukcją... protekcji.

To jest główna przyczyna naszych anormalnych stosunków. Dla niej to mąż, co zbadał cztery działania i nie odkrył jeszcze tajemnicy czy pisze się: *hrabia* czy *hrabia*, bierze górę nad ukończonym prawnikiem, bo kiedy ten ostatni ma tylko dyplom uniwersytecki, to pierwszy ma ciocię lub wujka przyjacielem brata lub stryjecznej siostry pana prezesa lub dyrektora.

Protekcja pozwala również, aby urzędnik wysłużony, pomimo emerytury dalej zostawał na swoim stanowisku. Protekcja wreszcie prowadzi do tego, że jeden i ten sam człowiek zajmuje jednocześnie dwie, trzy, a nawet cztery posady płatne.

Jeżeli przeprowadzimy sanację tych prawdziwie cholerycznych stosunków, to dużo, bardzo dużo wody upłynie, zanim będziemy mogli powiedzieć: dla ludzi inteligentnych, brak miejsc odpowiednich! A i wtedy jeszcze każdy miłujący kraj zawoła: «uczmy się, bo za mało posiadamy inteligentnych kupców, rolników, przemysłowców, rękodzielników...»

A czy pan dobrodzieju, kochany wynalazco hiperprodukcji inteligencji, sądzisz, że źle byłoby, gdyby w każdej gminie był choć jeden włościanin, co skończył całe lub niższe gimnazyum, że źle byłoby, gdyby taki został wójtem i chronił swoich od wyzyskiwania pisarzów gminnych, pisarzów pokątnych i tych pijawek, co lichwą i wódką krew ludu wysysają?

...W tem miejscu stolik się gwałtownie zakręcił, uderzył bokiem o ścianę, podskoczył, wybił okno — i ustawił się spokojnie na dawnym miejscu.

Duch wynalazcy hiperprodukcji inteligencji opuścił moje mieszkanie, a tylko jakiś swąd nieprzyjemny świadczył jeszcze przez czas pewien o niedawnej jego obecności. Rękę, że mi język pokazał i pięścią groził, — szczęściem, że pięści i język ducha są niewidzialne.

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.



Z WYSTAWY PRZEMYSŁOWEJ WE LWOWIE.

Zbytecznym byłoby, sędzę, rozpisywać się o celu wystaw i o ich pożyteczności. Nie wszystkie one zresztą mają jednakowy charakter.

Są np. wielkie wystawy światowe, na których cywilizacja cała przedstawia swój dorobek, aby się z nim sama policzyć; są inne, o celu fachowym; są też wystawy zakrawające na rodzaj egzaminu.

Lwowską wystawę przemysłu budowlanego można zaliczyć do ostatniej z wymienionych kategorii. Popis jednak, to tylko jeden rys jej i chyba nie najsympatyczniejszy. Popisy przedstawiają zazwyczaj rzecz w lepszym świetle, to też zniosła je nowoczesna pedagogia w szkole, opierając się na uzasadnionem przypuszczeniu, że uczeń specjalnie przygotowany do egzaminu, może świetnie odpowiadać, a w gruncie nie wiele umieć.

Ale nasza wystawa ma szersze znaczenie, niżli

nieśmiały, lękający się o złą notę, to pracownik wytrawny, który zdobył sobie i potrzebne wiadomości i należytą wprawę. Usadowił on się u stóp politechniki lwowskiej i w jej łonie z owocem mozolnych wysileń, wołając: «Jestem!» Równocześnie weszli i obcy ze swymi produktami, ale on bez obawy patrzy na nich. Dla niego to owszem miłe i pożądane, bo każdy drogą porównania dojść może do wniosku, że nie potrzebuje szturmować już za granicę, skoro tuż pod bokiem, we własnym kraju, zaopatrzyć się może we wszystko, czego mu trzeba przy budowie i że to, czego kraj dostarcza w wymienionym zakresie, jest równie dobrem, jak wyroby zagraniczne.

Wystawa tedy urządzoną została nie dla popisu, a raczej dla wypróbowania naszego przemysłu budowlanego, czy zadaniom swym sprostać może.



J. ZACHARJEWICZ.



L. RADWAŃSKI.

zwykły popis. Do egzaminu stają tu ludzie jedynie z faktami konkretnymi, których fałszować niepodobna; stają zakłady przemysłowe, stają większe maszyny, produkujące tak samo na zwykły użytek, jak dla wystawy, bo inaczej produkować nie mogą. Jeżeli to egzamin, w takim razie bardzo ścisły. Uczniowi — jest nim nasz przemysł budowlany — odjęta już została przez same warunki naturalne wszelka możliwość maskowania się przed areopagiem publiczności i komisją egzaminacyjną, którą stanowi koło fachowych znawców. Co tu widzimy, jest takim, jakim jest, nie zaś jakim być może, lub być powinno.

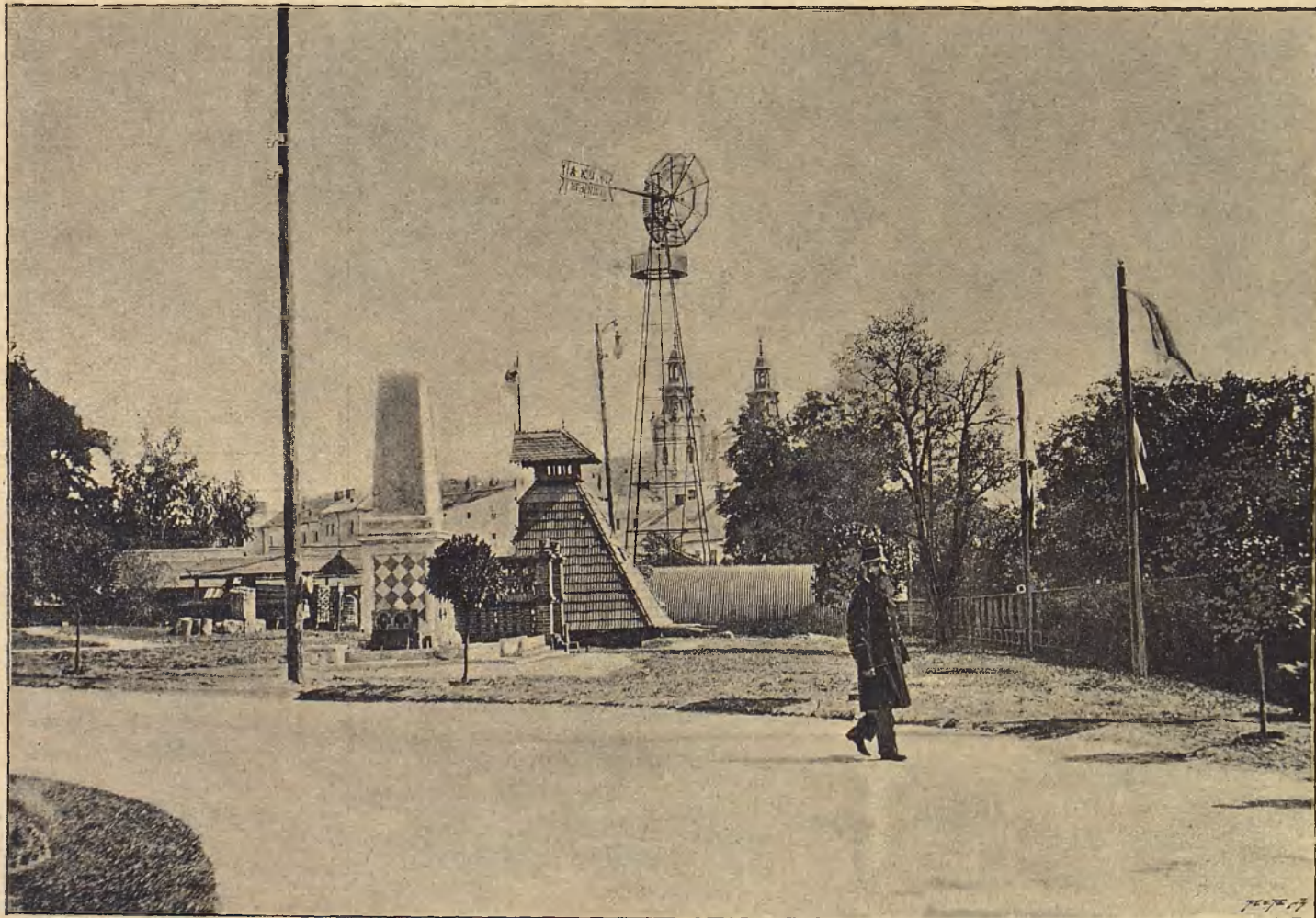
To jest moje przynajmniej zapatrywanie na sprawę z abstrakcyjnego punktu widzenia. Oczywiście niepodobna na niem poprzestać; abstrakcja może mieć swe dobre strony i ma je niezawodnie, jednakowoż w sferze przemysłu strona realna stanowczo prym trzyma i smutnym byłoby, gdyby tryumf naszego przemysłu budowlanego był abstrakcyjnym. Jemu nie szło o zyskanie pochwał. To nie uczeń

Na hasło ludzi dobrej woli i zdrowej myśli stanęli przemysłowcy galicyjscy w zwartym szeregu do walki ze sceptycyzmem, na jaki niestety napotyka u nas wszystko, co swojskie. Mieliżby go i tą bronią nie pokonać?

*

Wspomniałem o «ludziach dobrej woli i zdrowej myśli», a wracam do nich, bo rzecz słuszna, hołd oddać każdemu z dodatnich objawów naszego rozwoju. Nie po różami wysłanej drodze posuwa się polski naród do wielkich swych celów; każdy też jego krok naprzód tem większą zyskuje wagę.

Co się tyczy przemysłu w ogóle, a budowlanego specjalnie, to był on przez długie czasy kopcuszkim, pogardzanym pośród wielkich czynników pracy społecznej. Zaniedbania jego najlepszą ilustracją ten sam Lwów, który dziś miłośnie tuli go do serca... na wystawie. Lecz nie bądźmy niesprawiedliwi: nietylko na wystawie metropolia Galicji żywą okazuje życzliwość wspomnianej gałęzi przemysłu;



WIDOK OD FRONTU POLITECHNIKI.
WEDŁUG FOTOGRAFI L. KÖHLERA.

lata ostatnie dowiodły, iż uznano tu jego doniosłość należycie.

Ostatnie lata! Ileż to one miały do naprawienia, ile do zdziałania z gruntu na nowo!

Lwów, miasto handlowe, a skutkiem położenia politycznego i geograficznego skazane w burzliwych czasach na ciągle najazdy, przestrzegało przy budowlach tylko dwa względy: wygodę i bezpieczeństwo. Stąd owe chaotyczne pomieszanie stylów, wśród których przeważa zupełna... bezstylowość; stąd brak przez długie lata zakładów, które racjonalnemu budownictwu mogłyby przyjść z pomocą.

Korzystny przewrót stosunków dokonał się w oczach dzisiejszej generacji, a przypada mniej wię-

wnego celu przyczyniły się także niemało do przyozdobienia miasta. Na osobną wzmiankę zasługuje wreszcie monumentalny gmach Kasy Oszczędności, (znowu idealny plód prof. *Zacharjewicza*), gmach, który każda ze stolic europejskich poczytałaby sobie za prawdziwą ozdobę.

Nic naturalniejszego, jak to, że w miarę wzrostu umiejętnego budownictwa, wytworzyły się i szybko sił nabierały gałęzie przemysłu, silnie z niem związane. Ponieważ zaś równocześnie Kraków i niemal wszystkie większe miasta prowincjonalne przejęły «nowy kurs» metropolii, a może raczej ducha czasu, powstał tedy w kraju cały system ognisk przemysłowych z tego zakresu. Zaniedbany tak długo, prze-



WYSTAWA PRZEMYSŁOWA WE LWOWIE, OD FRONTU POLITECHNIKI.
WEDŁUG FOTOGRAFII L. KÖHLERA.

cej na rok 1870. Ruch budowlany ożywił się, a drgać w nim poczęły już i nerwy estetyczne. Jak grzyby po deszczu, pospiesznie wzniosły się okazałe gmachy; zaprzestano ulice zapelniać bezkształtnymi kojcami czynszowymi; w miejsce prymitywnego murarstwa rozwinęła się architektura.

Na wzgórzu Nowego Świata stanął wspaniały gmach politechniki, genialnie projektowany przez prof. *Zacharjewicza*; imponujący gmach sejmowy, dzieło p. *Hochbergera*, dostarczył godnego schroniska reprezentacji krajowej; zbudowano (według projektu ś. p. *Księżarskiego*, a pod kierownictwem p. *Hawryszkiewicza*) okazałą rezydencję Namiestnictwu; zbudowano piękną kaplicę i klasztor Sióstr Franciszkanek (podług planów prof. *Zacharjewicza*); zbudowano gmach kolei państwowej przy ulicy Trzeciego Maja (podług planów p. *Rawskiego*); zbudowano cały szereg zakładów szkolnych, które obok głów-

myśl budowlany szybko porósł w pierze. Przesada byłoby twierdzić, że dotarł już do mety, nie podlega jednak z drugiej strony w obec terażniejszej wystawy powątpiewaniu fakt, że śmiało ów młody szermierz kroczy naprzód. Zwraca też on się do ogółu z prośbą tylko o to poparcie, które słusznie powinno przyspaść mu w udziale, a polega... na prostym stosunku podaży i popytu.

Wystawa odda mu niewątpliwie wielkie przysługi. To też niepodobna nie wyrazić uznania tym, którzy piękną myśl powzięli i tym, którzy wprowadzili ją w życie. Projekt wyszedł z grona interesowanych, ze strony budowniczych i przemysłowców. Inicytywa jest zasługą dyr. *Hochbergera*, a opiekuńcze skrzydła Towarzystwa politechnicznego, pod które skrył się projekt zaraz po przyjeździe na świat, doprowadziły zamysł chlubnie do skutku. Mniemam wreszcie, iż nie ubliżając niczyim zasługom, owszem

z całą troskliwością zachowując zasadę *suam cuique*, godzi się postawić nazwiska prezesa komitetu wykonawczego prof. *F. Zacharjewicza*, i dyrektora tegoż komitetu p. *Ludwika Radwańskiego*, na czele długiego spisu osób, którym zawdzięczać mamy dojsie wystawy do skutku i jej sukces...

*

Bo czyż nie z tego gmachu rzucono znaczną część posiewu, który zeszedł na wystawie? A plony siejby obfite! Zajął one całe wolne miejsce na zewnątrz gmachu i mnóstwo ubikacyj w jego wnętrzu. Pod jakimi zaś godły je zgromadzono, opowiada zaraz wysoce oryginalna i dowcipna brama wjazdowa, wedle projektu p. *Münnicha*; opowiada rydlami, łopa-



TEATR NA WYSTAWIE WIEDENSKIEJ.

A sama wystawa?

Nie mam pretensji do fachowego znawstwa; wątpię nawet, czy byłoby wskazaniem roztaczać arkana wiedzy technicznej na tem miejscu. Moje zadanie jest i łatwe i trudne; łatwe, ponieważ redukuje się do przeniesienia osobistych tylko wrażeń na papier, — trudnem, gdyż ów wielki i pod każdym względem urozmaicony obraz ująć należy w bardzo ciasne ramki.

Alegoryczna postać z dumą spogląda ze szczytu politechnicznego gmachu na ruch, co wre tuż pod nią.

tami, szaflikami, kielniami, młotami, nieprzebranem bogactwem narzędzi, których użyto, bodaj czy nie raz pierwszy, do celów dekoracyjnych.

Zaciekawieni tem preludjum zwracamy się przede wszystkim na prawo od wejścia, ku wysokiej piramidzie ze sztab żelaznych, z wiatrakiem na górze, kryjącej w sobie pompę, która wydobywa wodę. Zmniejsz jednak, niż pod działaniem wody, robi nam się na widok baraku z blachy falistej, z przysypką ziemi (wystawca *arcyksiążę Albrecht*). Zgroza wojny dreszczem przenika pokojowego widza; na szczęście

ma on sposobność ochłonać rychło z tych wrażeń w asyłu niepołomickiej ceramiki. Już to na wyroby glińiane skarżyć się nie można; mnogość ich na wystawie wielka, a i jakość *non plus ultra*. Rej wodzi w gronie siostrzyc *Stillerówka*, nasza lwowska *Stillerówka*, która tak wysoko udoskonała przemysł ceglarniany. *Niepołomice* przedstawiły nam całą skalę tych produktów od surowej cegły począwszy, a skończywszy na błyskotliwej majolice. Pan *Lewiński* ze swą spółką nie dał się im zaprawdę zawstydić, a p. *Gumiński* z *Zalesianek* wystąpił jako specjalista od dachówek, których oryginalna forma i dobre wykonanie dla mnie nie są większej wagi, niż okoliczność, że fabryka własną, stoi siłą i miejscowym włościanom daje znaczny zarobek. Byłbym potępienia godny, gdybym pominął *Snopków* p. *Domaszewskiego* lub *Krasuczyn* p. *M. Krasuckiego*, wybornie reprezentowane, lub też nie wspomniał o znakomitych wyrobach tarnowskiej cegielni ks. *E. Sanguszki*; ale wybaczenie, jeśli przechodząc na lewą stronę, krótki tylko hołd złożę hrabinie *Ssembekowej*, p. *Gerblowi* i innym gliny orędownikom, bo zastęp ich zbyt potężny na moje małe pióro.

Wpadam w barak szpitalny *Christopha* i *Unmacha*, zaanonsowawszy się poprzednio uderzeniem w przepyszną dzwon *Geiba* z Czerniowiec. Pawilon p. *Lewińskiego* zatrzymuje mnie dłużej. Gdyby majolika była płynna, skapałoby tu się w niej można. Trzeba jednak poprzestać na samym dla niej podziwiew, następnie zaś z równym podziwiew, studyować podobizny fotograficzne *Kastelówki* i wszystkich budowli, które p. *Lewińskiego* są. Z kolei dostają się w gromadę wyrobów gipsowych i cementowych, a krocząc nie bez pewnej naiwnej obawy po mostku z betonu o cieniuchnej nakrywce, stają przed żelaznym pawilonem *Schumana*, który każdego należnym respektem przejść musi.

Po tyłu wzmieniach godzi się w pawiloniku p. *Ballabana* uśmierzyć zirytowane nerwy kielichem specjalnej *»Ballabanówki«*. Wzbudza ona oczywiście apetyt — wpadamy tedy z całym impetem do restauracji, gdzie *ad oculos* usmażą nam bifszyk na gazowej kuchni (wystawca *Towarzystwo gazowe desauskie*) i gdzie następnie piwo *Kiselki* dokona dzieła rozpoczętego przez *Ballabanówkę*.

Tak wzmocnieni możemy już bez wahania wejść do wnętrza gmachu politechnicznego i całą uwagę poświęcić wystawionym tu przedmiotom. Liczba ich legion; niepodobna zaś wypisywać całego katalogu. Niepodobna także reprodukowac wszystkich swych wrażeń; spotykamy tu bowiem przedmioty, z których każdy na swój sposób budzi zajęcie, już nie znawców tylko, lecz całej pospolitej rzeszy profanów.

Artykuł niniejszy np. zyskałby może większe zaokrąglenie, gdyby pisany był na alabastrowym stole, wyrobu p. *A. Słoneckiego* z *Zadarowa* lub p. *A. Z. Cieleckiego* z *Porchowy*; przy blasku latarni artystycznie wyrobionej w stylu gotyckim przez *Goreckiego* lub *Uznańskiego* z *Krakowa*, albo wreszcie

przez wytwornego *Daschka* ze *Lwowa*. Jaką doniosłość zdobyłby sobie me słowa, gdybym je wprzód zważył na jednej z subtelnych wag lwowskiego *Stankiewiczza*! Nie zwracałbym uwagi na to, czy dach nad głową pokrył mi ogniotrwałymi matami p. *Noah* z *Sokala*, czy też p. *Szeliga-Lyszkowski* ze *Lwowa*; piec kaflowy z fabryki *»Glińsko«* byłby mi równie miły, jak majolikowe cacka z warsztatów kołomyjskich; parkiety lustrzane *Wczelaków* ze *Lwowa*, lub *Karola Otto* z *Krakowa* odpowiedziałyby w zupełności moim wygórowanym pojęciem o posadzce, drzwi zaś powierzyłbym braciom *Muranyi* w *Krakowie* lub *Mieleckiemu* we *Lwowie*, gdzie także wyszukałbym *Sopulskiego*, by go prosić o wykonanie ornamentacyj... Co się tyczy bramy, to ją musiałyby stanowczo wykonać mi *Prager* lub *Hornung* we *Lwowie*. Artystyczne szyby sprowadziłbym od *Zajdzikowskiego* z *Krakowa*, kryształowe przybory od *Lewickiego* we *Lwowie*. Piecyk bezdymny urządziłby mi niewyczerpany w pomysłach *Rychnowski*, a o desinfektory nie troszczyłbym się zbytnio, znając adres *Dzbańskiego* (ze *Lwowa*). Liwerantami moich mebli (wybaczenie porządek, lecz zgodny on z porządkiem sal wystawy) byłiby: *Chmurski* z *Krakowa*, *Rogowski* z *Przemyśla*, Spółka stolarzy lwowskich; fortepian wziąłbym od *Mareckiego* ze *Lwowa*, pianino od *Woronieckiego* z *Przemyśla*. Nie omieszkałbym również postarać się o plany na budowę, u jednego z tych kilkudziesięciu architektów, których projekta podziwiałem na wystawie. Słowem, urządziłbym się niezrównanie, pod jednym atoli warunkiem: gdybym u *Sahna* (zastępca *Schuman* we *Lwowie*) potrzebował zaopatrzyć się w *Wertheimówkę* i gdybym w tej *Wertheimówce* miał przynajmniej setną część sum, które rokrocznie wychodzą zagranicę na artykuły z zakresu przemysłu budowlanego...

*

Na razie jednak nie potrzeba mi p. *Sahna*. I na co zresztą? Czy świat nie dość piękny bez niego? A światem dla mnie w tej chwili wystawa... Zmieniła ona swą fizyognomię. Słońce nie zlewa już tu złocistych swych blasków; rozprysło się ono z nastaniem nocy na kilkadziesiąt słońc elektrycznych *Siemensa* i *Halskego*...

Rojno i gwarno w alejach i chodnikach; najrojnziej oczywiście i najgwarniej — w restauracji, nieopodal pawilonu, skąd rozlegają się skoczne dźwięki walca *Iwanowicza*.

W cementowej niszy p. *Franza* marzy powiewna *Psyche*, na przeciwległym zaś krańcu sfinks kamienny wpatruje się w gwiazdy. I nie rażą one wcale wśród tych złomów prozy rozrzuconych dookoła...

Psyche zdaje się szeptać o geniuszu ludzkim, który wszystko uszlachetnia dotknięciem promiennej swej ręki, a sfinks gwiazdy pyta, czy prędko ten naród tak się wydoskonali w budownictwie, iż odbuduje sobie ojczyznę?...

STER.



Z WYSTAWY MUZYCZNO-TEATRALNEJ.

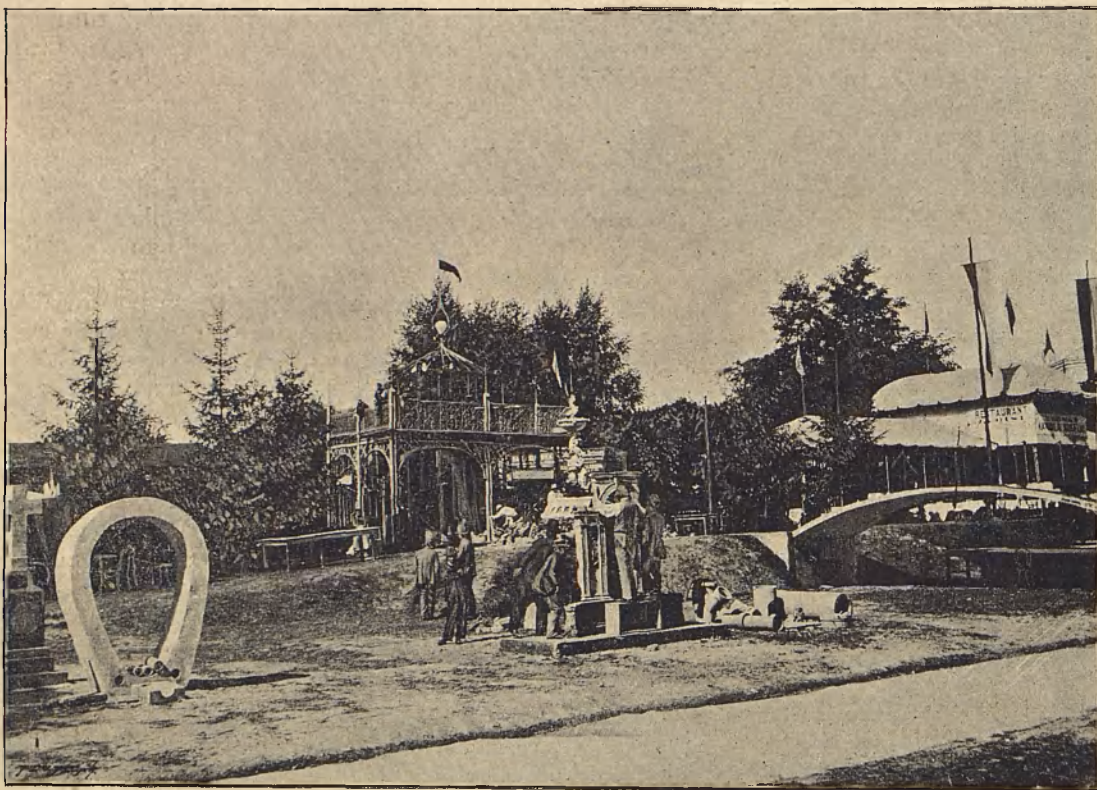
I.

Wiedeń, 13 września.

Od stu lat przeszło jesteśmy dla Europy tem, co Anglicy nazywają «the skelet in the house»: szkieletem w domu. Ukrywają nas jedni przed drugimi i jedni w drugich wmówić usiłują, że niemasz Polski, a jeno piękna pozostała po niej legenda. Polska sztuka, polskie wynalazki i polski przemysł ukazują się światu przeważnie pod obcą marką i przyczyniają się do rozstawiania obcych narodów. Wraz z bytem politycznym utraciliśmy prawo do bytu moralnego, jak gladyatorzy nosić musimy barwy swoich panów

tu zrzucić gladyatorów szaty, przywdziać własne barwy i pod ich osłoną stawać w szranki. I stanęliśmy.

Na międzynarodowej wystawie muzyczno-teatralnej w Wiedniu udzielono nam gościnności i powołano do rzędu żyjących narodów. Ależ biedni my, biedni! W stuletniem więzieniu tak odwykliśmy od świeżego powietrza, że lada wietrzyk nas odurza. Nawet nie stać nas już było na śmiałość skorzystania z tej gościnności tak jak należało, nie mieliśmy dość odwagi, by oddział nasz ochrzcić Polski mianem i w pokorze ducha skryliśmy się po za apoka-



WYSTAWA PRZEMYSŁOWA WE LWOWIE, OD LEWEGO SKRZYDŁA POLITECHNIKI.
WEDŁUG FOTOGRAFII L. KÖHLERA.

i walczyć i zwyciężać dla ich sławy. Na międzynarodowych turniejach, na wystawach światowych stajemy do startu pod trzema barwami, tak sami siebie z trudnością tylko odszukać możemy. Polsce wykreślonej z karty Europy, odmawiają też prawa jako takiej przedstawiać się światu, bo sama już jej nazwa niemile drażni europejskie rządy, przypomina dziejowe krzywdy i gwałty i jak duch Banka straszy wesołych biesiadników...

Dlatego też usuwano nas z każdej międzynarodowej wystawy, jako gości przykrych i smutnych, jako zmorę trapiącą sumienie świata. Austria, która jedna zrozumiała potrzebę chociaż częściowego krzywd naprawienia i która pozwoliła nam głośno nazywać się Polakami, po takiej grzechów ekspiacji nie czuje już potrzeby ukrywania nas, nie jesteśmy już szkieletem ukrytym w jej domu i dlatego wolno nam

liptyczny napis: «Komitet dla udziału sztuki polskiej w międzynarodowej wystawie muzyczno-teatralnej». A jeszcze jakie wyznaczono nam miejsce! Jakby dla odzwierciedlenia rzeczywistych stosunków oddział nasz rozrzucono po trzech różnych ścianach i to na przejściu z rotundy do parku: niejako w przedśionku Europy. Mała Bułgaria otrzymała zaciszny kątek, szczerze oddzielony od sąsiadów — i słusznie, bo ma byt polityczny; wielką Polskę umieszczono jakby w bramie przechodniej i rozrzucono ją w nieładzie jakby cygańskie obozowisko, które tuli się u wejścia do wspaniałego miasta, a przygotowane na to, że każdej chwili lada żandarm rozpedzi je może. Ale nie mamy prawa do szemrania, jesteśmy wszakże po wielkiem bankructwie, dopiero na dorobku w polityce, pocieszmy się więc myślą, że droga do salonu prowadzi zawsze przez przedpokój...

Na odezwę komitetu, ze wszystkich ziem rze-
czypospolitej pospieszono z nadesłaniem zabytków
sztuki i kultury, zabytków, które ilustrują wymo-
wnie naszą historję i stanowią dla nas najlepszą le-
gitymację w rządzie ludów cywilizowanych. Muzea
publiczne i zbiory Czartoryskich, Lanckorońskich,
Tarnowskich i innych, dostarczyły w wielkiej obfi-
tości dowodów naszej starożytnej kultury, a dzieła
i portrety żyjących mistrzów pędzla i dłuta, muzy-
ków i literatów, uzupełniają obraz, bo dowodzą, że
nietylko żyliśmy w przeszłości, ale i teraz żyjemy,
że nietylko mamy kulturę dawną, ale że też umie-
liśmy utrzymać i potęgować ją aż do dzisiejszej
chwili. W zamkniętych gablotach mieszczą się wzdłuż
jednej ściany nieprzebrane skarby z przeszłości: pra-

usterki idą na karb komitetu, który się wystawą
polską zajął, najczęściej bowiem zawiniły tu nasze
stosunki polityczne i trudności stawiane przez Rosję.
Faktem bowiem jest, że reprezentant oddziału ro-
syjskiego groził opuszczeniem wystawy wraz z wszyst-
kimi zwiezionymi już przedmiotami, jeżeli nie usunie
się oddziału polskiego z sąsiedztwa oddziału rosyj-
skiego. Musiał więc komitet wiedeński gwałt zadać
geografii i pomiędzy Rosję a Polskę wsunąć po-
nury oddział hiszpański. Po za nim dopiero zdobny
w wysokie kolumny wznosi się pstry i jaskrawy
oddział rosyjski, kapie złotem i lśni od drogich ka-
mieni. Nie widać w nim owej poważnej kulturowej
tradycyi, która stanowi cały urok skromnego pol-
skiego oddziału, z pyszałkowstwem parweniusza roz-



WYSTAWA PRZEMYSŁOWA WE LWOWIE, OD LEWEGO SKRZYDŁA POLITECHNIKI.
WEDŁUG FOTOGRAFII L. KÖHLERA.

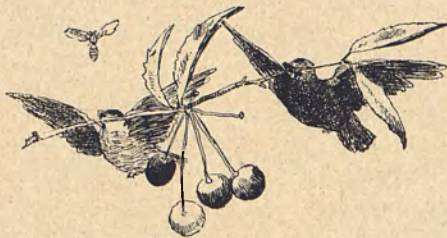
stare rękopisy i nuty, dziwaczne instrumenta, księgi
i listy. Po przeciwległej stronie to nasze dzieje po-
rozbiorowe: rękopisy autorów i kompozytorów dzie-
więtnastego wieku, afisze teatralne, listy sławnych
artystów, a wreszcie ich portrety i fotografie w im-
ponującej ilości. Na osobności i zupełnie odgraniczony
stoi pełen cennych pamiątek pokój Szopena, którego
podobiznę podajemy dziś w rycinie. Po zewnętrznej
stronie, tyłem do działu modnych pisarzy i artystów,
mieszczą się wystawy naszych scen, ponad którymi
umieszczono portret króla Stanisława Augusta. Wspan-
niale i godnie wystąpiła scena warszawska, najslabiej
zaprezentowała się poznańska. Oryginalne jasełka do-
pełniają całość. Nie chcę stanowczo rozstrzygać tu
pytania, czy zaprezentowaliśmy się na wystawie źle
czy dobrze, bez wahania jednak twierdzę, że mogli-
śmy zaprezentować się lepiej. Nie wszystkie jednak

tacza Rosya swe bogactwa, a cała tradycya mieści
się w dużej szafie, która zawiera kosztowne polskie
kontusze i pasy zrabowane przez Rosję. Nie! bo-
gactwa Rosyi rozsiane po tej wystawie, zaprawdę
nie budzą w nas zazdrości, raczej budzi się żal
i tęsknota na widok oddziału bułgarskiego. Na
pierwszy rzut oka widać, że to państwo niezawis-
łe, o którego względy widocznie się starano i dla
którego wyszukano miejsce jak najlepsze. Jakby dla
zadokumentowania tej niezawisłości, odgraniczono ten
oddział wysokimi ścianami od sąsiadów, a nawet
wejście osłonięto kotarami. Całość robi wrażenie za-
cisznego budoaru, a chociaż niemasz tam prawie nic
uwagi godnego, na pierwszy rzut oka widać, że to
gniazdo usłane ręką kochanka, gniazdko ubogie
wprawdzie, ale schludne, wesole, miłe. Dziś gościnnie
gród naddunajski przyjął Rosję w przepysznym sa-

lonie, Bułgaryę w zacisznym buduarze, a Polskę w chłodnym przedśionku, mając pierwszą za wroga, drugą za kochankę, trzecią za służbę.

O naszym udziale w turnieju scenicznym, pomówię w następnym artykule.

ADIN.



CZASEM . . .

Czasem słońce jasno świeci
Choć w dolinach mgła;
Czasem pusty śmiech z ust leci —
W oku błyszczą łza...

Czasem gwiazd promyki toną
Śród bagnistych wód
Czasem oczy żarem płoną —
W sercu, spleen i łód...

Czasem, powój w górę pnie się
Choć od wiatru drży;
Czasem los nam szczęście niesie
Przez smutki i ły...

Czasem rzeka rozszalała
Zmienia nagłe bieg,
Czasem... cnota jak śnieg biała,
Topnieje jak śnieg!...

Czasem granit się rozkruszy
Co już wieki trwał,
Czasem, w pełnej zasad duszy,
Wszystko burzy — szął...

IZYDOR KUNCEWICZ.



K R O N I K A.

* Między ilustracjami, zamieszczonemi w niniejszym numerze, znajdują się: I. Z wystawy teatralno-muzycznej: 1) Pokój Chopin'a; 2) Dział podobizn polskich autorów dramatycznych (Władysław Anczyc, dr. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Adam Bełcikowski, Józef Błaziński, Jan Chęciński, J. A. Fredro, Maryan Gawalewicz, Wład. Koziebrodzki, Edward Lubowski, Ignacy Maciejowski (Sewer), Ludwik Osiński, Władysław Okiński (Aleksander Świętochowski), Zygmunt Przybylski, Wincenty Rapacki, Zygmunt Sarnecki, Henryk Sienkiewicz, Alfred Szczepański, Kazimierz Zalewski). — II. Z wystawy przemysłowej we Lwowie: 1) Trzy widoki i 2) Podobizny: prof. J. Zacharjewicza (według portretu J. Styki) i dyr. Radwańskiego.

Nadto podajemy z aktualnych ilustracji widok teatru wystawowego.

* *Mściław Godlewski*, redaktor *Słowa*, bawi w Krakowie.

* *Michał Bałucki*, znakomity autor «Grubych ryb», powrócił do Krakowa po dwumiesięcznym pobycie w Rytrze.

* *Stanisław Niedzielski*, znany kompozytor, a były dyrektor krakowskiego Towarzystwa muzycznego, objął w tych dniach kierownictwo łódzkiej «Lutni».

* Druk nowej powieści *Maryi Rodziewi-*

czówny, p. t.: «Lew w klatce», rozpocznie w październiku *Wiek warszawski*. Nowa powieść sympatycznej autorki «Szarego prochu» i «Hrywdy», snuje się na tle współczesnem.

* *Józef Błaziński* zawarł kontrakt z wiedeńską agenturą teatralną Tãncera na przedkład i wystawianie jego sztuk na scenach niemieckich i francuskich. Układy toczyły się skutkiem nalegań p. Tãncera przez parę miesięcy. Dowodzi to, że Niemcy pragną coraz więcej zapoznawać się z utworami naszej literatury.

* (*Ł.*) Z dniem 1-go września dramat teatru krakowskiego rozpoczął swój sezon. Siły personelu zmniejszyły się na razie. Państwo Żelazowscy i panna Dzirytówna przeszli do Lwowa. Dyrekcya teatru natomiast zaangażowała p. Lubicza, b. artystę dramatycznego. Sezon zimowy zainaugurowano «Kazmierzem Wielkim i Esterką», Kozłowskiego, laureta konkursu im. Bogusławskiego. Przedstawienie wypadło bardzo dobrze.

Po wznowieniu «Konfederatów Barskich», «Gwałtu co się dzieje» i «Ogniem i mieczem», dość słabej przeróbki z powieści Sienkiewicza, rok rocznym zwyczajem zawiatał na gościnne występy Wincenty Rapacki. Pierwszy występ znakomitego artysty w »Safandulach» zapełnił po brzegi audytorium tea-

tralne. O Vaulinie Rapackiego jedno jest tylko zdanie: znakomity artysta-literat wlewa w tę rolę tyle rozumu, a wszystkie szczegóły tejże odtwarza przy pomocy poważnych studyów i wielkiej intuicyi, tak artystycznie, iż musi zawsze sprawiać potężne wrażenie. Tak było i tym razem. Inni artyści role swe wykonali bardzo starannie. Drugi występ Rapackiego, równie szczęśliwy, przypadł w sobotę (d. 10 b. m.), w «Kupcu weneckim». W niedzielę publiczność krakowska pożegnała owacyjnie miłego warszawskiego gościa w «Skąpcu» Moliera.

Pierwszą nowością w tym sezonie będzie dramat historyczny Bełcikowskiego, nagrodzony na konkursie lwowskim, p. t.: «U kołebki narodu».

* Na bardzo ożywioną treść zeszytu sierpnowego (VIII) *Ekonomisty polskiego* składają się następujące prace: 1. Zasoby monety srebrnej w monarchii austro-węgierskiej, przez dra Wilhelma Bindera. — 2. Rozwój waluty i poprawny jej system dwukruszcowy, przez Z. Korosteńskiego. — 3. Sprawozdanie inspektorów przemysłowych za r. 1891, przez dra M. — 4. Przegląd literacki: a) «Przegląd emigracyjny». — b) Prof. dr. T. Pilat: «Własność tabularna w Galicyi». — 5. Kronika.

* *Zygmunt Stojowski*, młody pianista i kompozytor pełen wybitnego talentu, zjednuje sobie coraz to więcej uznania za granicą. Ostatnia jego kompozycja, efektowna *suita* przysporzyła mu w Berlinie i Scheveningue niemało oklasków, a wybrednemu w doborze kompozycy do programów Bülowi, tak się spodobała, iż zaprzagnął ją wkrótce odegrać. Pan Stojowski udaje się wkrótce do Paryża, a w późnej jesieni będzie koncertował w Berlinie.

* *Stanisław Konopka*, jedyny polski recytator, urządził 11 bm., w sali krakowskiego «Sokola», wieczór deklamacyjny. Deklamator, pomimo dłuższej ciężkiej choroby, nic nie stracił z zapachu dawnego i werwy, to też publiczność oklaskiwała go żywo, zwłaszcza, że wszystko, co deklamował bardzo sympatyczne dla polskiego ucha.

* Dyrekcya *opery warszawskiej* zaangażowała na nadchodzący sezon teatralny młodego tenora lirycznego, p. Stehle.

* «Przewodnika encyklopedycznego życia praktycznego», wydawanego w Warszawie przez Bolesława Brzostowskiego, wyszedł zeszyt 3-ci, tomu I-go. Nowy zeszyt obejmuje wyrazy od *Archivum* do *Bankierstwo*.

* Zwłoki ś. p. *Tatarkiewicza* przeniesiono w tych dniach z katakumb warszawskich do grobu familijnego na cmentarzu powąskowskim.

* *Przedstawienia polskiego towarzystwa dramatycznego* w Petersburgu, rozpoczną się w drugiej połowie września. Przedsiębiorstwem kieruje, równie jak w poprzednim roku, p. K. Kamiński, a skład trupy dość licznej i szczęśliwie dobranej, pozwala mniemać, że przedstawienia w Petersburgu wywalczą sobie w tym roku liczny i stały zastęp słuchaczy.

* *Władysław Zamarajew* wydał niedawno wytworne album, zawierające widoki «Julianowa» pod Łodzią. Całość wydawnictwa, ułożona ze smakiem prawdziwie artystycznym, równie jak i poszczególne rysunki, wykonane z talentem i starannością, robią bardzo miłe wrażenie.

* *Nowe album Warszawy* wyszło w tych dniach nakładem jednej z tamtejszych firm artystycznych. Zbiorek, przedstawiający się bardzo sympatycznie, składa się z kilkunastu widoków świątyni, gmachów, tudzież bardziej malowniczych okolic i pałaców podmiejskich.

* Niemiecki zjazd dziennikarzy, który miał się odbyć w jesieni r. b. w Wajmarze, z powodu cholery odwołany.

* *Stan Konrada Ferd. Mayera*, który, jak wiadomo, popadł w obłąkanie, wedle najnowszych wiadomości, nie jest zbyt groźny. Choroba jego wynika z nadmiaru pracy i tkwi w przetężeniu nerwów. Lekarze zapewniają, że najprawdopodobniej uda się znakomitego pisarza przywrócić do zdrowia.

* *Allg. Kunst. Chronik* wydawana w Wiedniu przez dra *W. Lausera*, podaje artykuł o muzyce i teatrze w Polsce, napisany na podstawie starannych prac dra *Bylickiego* i *Alf. Szczepańskiego*.

* Sensacją wywołała nowa praca profesora *Lombroso*: «Prawdomówność kobiet». Znakomity autor dochodzi w niej do pesymistycznego wniosku, że kłamstwo jest fizyologycznym znamię kobiety.

* Na weneckim konkursie *Sonozgo*, otrzymał pierwszą nagrodę *Coronaro* za jednoktowa operę: «Uroczystość żeglarzy»; drugą Bózi za taką operę: «Don Gàez».

* Dnia 2 lutego 1894 minie 300 lat od chwili śmierci *Giovaniego Perluigiiego z Palestriny*. W rodzinnym mieście «króla muzyki» zawiązała się już komitetem celem godnego obchodu wiekopomnej rocznicy.

* Głośny kaznodzieja paryski, ks. Garnier, podniósł w dzienniku *Croix* myśl wznowie-

nia we Francji dawnych misteryów, jednakże z zastosowaniem do obecnych potrzeb i wymagań sztuki. Ma się w tym celu utworzyć osobne stowarzyszenie z kapitałem 400,000 franków, które wybuduje teatr przenośny i dawać w nim będzie, w rozmaitych miejscowościach Francji, widowiska, przedstawiające najważniejsze chwile z życia Chrystusa Pana.

* Opróżnione po śmierci *Decourcell'a* miejsce lekтора w Komedii francuskiej, zajmie *Paweł Perrier*, krytyk teatralny dziennika *La Liberté*, a gwałtowny przeciwnik sztuki realistycznej.

* Sztukę pp.: *Ferriera* i *Alfreda Delilia*, w 8-miu aktach i 4-ch obrazach, p. t.: «*Tararabum Revue*», przygotowuje na gruzach teatr paryski *Menus-Plaisirs*.

* *Kurjer*, organ urzędowy towarzystw polskich w Nowym Jorku, w numerze 30, z dnia 20 sierpnia, podaje portret i zwięzły rys życia, jakoteż działalności dra *Emila Habdank Dunikowskiego*, który bawi w Ameryce jako delegat grona obywateli galicyjskich, pragnących się zaznajomić ze stosunkami emigracji polskiej za oceanem.

* W Chicago polskie towarzystwa zakrzętały się pilnie kwestyją wzięcia udziału w uroczystościach, mających się odbyć na pamiętkę odkrycia Ameryki dnia 19, 20 i 21 października. Odbyło się kilka posiedzeń delegatów towarzystw w tej sprawie.

* *Pamiętnik lorda Williama Soornera*, który w latach 1716—1749, pełnił obowiązki agenta dyplomatycznego przy różnych dworach, odnalazł jeden z mieszkańców Warszawy. *Leo Bishoff*, antykwaryusz londyński, ofiarował właścicielowi rękopisu 300 f. szterl., czyli około 3,000 rs. za zeszyt.

* Dyrektor działu manuskryptów w *British Museum*, *Sidney Collin*, odkrył zbiór starych rysunków niderlandzkich, przeważnie ołówka *Lucasa van Leyden*. — W Zgorzeliacu odkryto w posiadaniu pewnej rodziny mieszczańskiej portret pendzla *Van Dycka*.

* *Henry Irving*, słynny tragik angielski, ma zostać przy sposobności 300-letniego jubileuszu istnienia uniwersytetu w Dublinie, zamianowany honorowym doktorem sztuk pięknych. Pierwszy to w swoim rodzaju wypadek.

* «*L'Abraham Verhoeven*». Komitet projektowanej I. międzynarodowej wystawy prasy dawnej i nowożytniej, która to wystawa ma się odbyć około kwietnia 1893 r., rozpoczął wydawać specjalny swój organ zatytułowany: «*L'Abraham Verhoeven*». Jest to, jak wiadomo, nazwisko wydawcy pierwszego w Belgii czasopisma: «*Nieuwe Tijdingen*» (1619). Z numeru, który leży przed nami, wymienimy następujące szczegóły: Wystawa będzie podzielona na grupy następujące: Czasopisma: 1) polityczne; 2) naukowe; 3) literackie; 4) teatralne, towarzyskie i kąpielowe (!); 5) artystyczne; 6) agronomiczne; 7) przemysłowe; 8) finansowe; 9) komercyjne i ekonomiczne; 10) pedagogiczne i uniwersyteckie; 11) sportowe; 12) modne; 13) prawnicze; 14) ilustracyjne; 15) filozoficzne; 16) rozrywkowe. Na wystawie mają być urządzane konferencje na temat spraw dziennikarstwa i pomocniczych gałęzi przemysłu.

W skład komitetu egzekutywnego weszli: *Lievijn Coppin*, prezydent Towarzystwa *Union de la Presse periodique belge*, jako prezydent wystawy; *J. Van den Broeck*, prezydent Towarzystwa *Cerle Belge de Collectionneurs de journaux*, jako wiceprezydent wystawy; *J. Charlier* i dr. *Ed. Guilmot*, jako sekretarze generalni; *Sulp. Corns* i dr. *Emil Gilson*, jako sekretarze; *H. Bossut*, jako skarbnik; *G. Merchens*, jako administrator; *J. Van Rollegem*, jako «*directeur des fetes*» i 13 wydziałowych. Delegatów mianowano dla

Francji, Szwajcaryi, Włoch, Bułgarii, Grecji, Turcji, Czech i Argentyny. Adres biura komitetu znajduje się w Brukseli, przy ulicy de l'Ecuyer 1, 57.

BIBLIOGRAFIA.

(a. k.) *Ks. Józef Hutubowicz* Wyspy Sandwickie i Gambico w Oceanii. Kraków, 1892. 8^o str. 107.

Niezwykle zajmująca ta książka daje wyobrażenie o trudnościach i niebezpieczeństwach, na jakie napotykają misjonarze u ludów dzikich. Do ilustracyi użyto kilku rycin i mapki.

Antoni Świątkiewicz. «Pieśni nocy». Lwów 1892. 8^o str. 31.

(ski.) Ślicznie wydana książeczka. Pomieszczone w niej utwory różnej są wartości. Pan Świątkiewicz po raz pierwszy występuje na widownię literacką, pracy więc jego zbyt surowo sądzić nie można. W każdym razie «Pieśni nocy» dowodzą, że autor ma poczucie piękna, wyrobioną do pewnego stopnia technikę i szczere chęci omijania utartych szlaków. Jak na początek, to już dużo. W «Pieśniach nocy» niektóre ustępy są nawet bardzo ładne.

(w. i.) *St. Wigura*. — *Dziesięciolecie cenzury rosyjskiej w Królestwie Polskiem. (1880—1891)*. — Przedruk z «*Nowej Reformy*». — Kraków. Nakładem wydawnictwa «*Nowej Reformy*». 1892. — 8^o str. 96.

Wybornie obznajomiony ze stosunkami cenzury rosyjskiej, roztacza autor przed czytelnika pełen grozy obraz nadużyć, jakich się ta wszechwładna niemal instytucja dopuszcza. Rewelacje jego są tem bardziej zajmujące, ponieważ przedstawiają nam i ducha cenzury i cele jej i wykonawców. Jest to świeży przyczynek do martyrologii żywiołu polskiego pod jarzmem rosyjskim. Niechby we własnym interesie zajrzel do książki *Wigury* ci z naszych pobratymców, którzy z naiwnym optymizmem garną się w objęcia Rosyi.

(w. i.) *Pogadanka o teatrze i teatru polski w Petersburgu od 1882 do 1892 r.* — Garść luźnych uwag i wspomnień z działalności teatru, przez *Henryka Glińskiego*. — Petersburg. Księgarnia *Br. Rymowicza*. 1892. — 8^o str. 144.

We wstępie zwierza się autor ze swemi zapatrywaniami na estetyczną i moralną doniosłość sceny, jakoteż na jej ewolucję w latach ostatnich. Wiele tu uwag oryginalnych i trafnych (np. co do «gastrolowania», «kreaty» itp.). W dalszym ciągu opowiada autor, jak już w samym tytule zaznaczono, bardzo urozmaicone, acz niezbyt wesołe dzieje teatru polskiego w Petersburgu.

(z.) *W. Łuski*. «Wielki rok». Powieść z niedalekiej przyszłości. — Księga I. Wypowiedzenie wojny.

W patryotyzmie szczerem, gorącym, ma swe źródło praca artysty-malarza, p. *W. Łuski*.

Ma ona myśli i kształty poetycznego marzenia, opisanego jednak w taki sposób, że wydaje się być rzeczywistością. A smutna to rzeczywistość; znają ją dobrze zakordonowi nasi bracia. Zawikłania polityczne tej smutnej rzeczywistości przyczyną. W książce p. *Łuski* gorczyjski ich węzeł przecina płomienny miecz wojny wypowiedzianej Austrii przez Rosję w fantastycznej przyszłości. Wielka dziejowa łuna rzuca blask nadziei zboliałemu narodowi, przejętemu oczekiwaniem i otuchą. Znalizmy dotąd p. *Łuski* z pełnych talentu prac pędzlem, pióro dla niego dotąd leżało odłożeniem — obecnie pierwszy pono raz zań uchwytniejszy, okazał, iż niezgorzy piórem jak pędzlem włada. Dalsze księgi, wedle zapowiedzi autora, opisywać będą: Wojnę Rosyi z Austro-Węgry. — Wystąpienie Prus na linię bojową. — Wystąpienie Francyi. —

Wystąpienie Narodu Polskiego. — Pokój świata.

(*ski.*) *Perły humoru polskiego*. Tom III. Kraków 1892.

Trzeci tom tego ciekawego ze wszech miar wydawnictwa przynosi przeważnie rzeczy albo całkiem nieznanne, lub też bardzo rzadkie. Mamy więc naprzód zbiór świętych epigramatów pisarzy polskich z rękopisu Legatowicza, znajdującego się w bibliotece Jagiellońskiej. Dalej idą obszerne wyjątki z nieoszacowanych «Wiadomości brukowych» wileńskich, wydawanych przez owo świetne grono «szubrawców», na których czele stali Śniadeccy, Baliński i t. d. Zwracają tu uwagę: przepyszny «Dyaryusz podróży do Warszawy», wysoce satyryczne «Podróże szubrawskie» i artykuł «O przymnożeniu swobód i wolności żydkom naszym». Znany etnograf p. Matyas, zebrał dla tego tomu «Perel» obszerny zbiór humoru ludowego. Znajdujemy także przekład tak rzadkich «Organów» Węgierskiego, «Sentymentalne Towarzystwo», przez Jędrzeja Śniadeckiego, «Pochwałę pijaństwa», drukowaną niegdyś w «Dzienniku Wileńskim», w roku 1817, wyborną powiastkę Włodzimierza Wolskiego p. t.: «Dobry pijaczek» itd. Wyjątki z «Momusa», fraszki staropolskie, wielka ilość wierszy humorystycznych całkiem prawie nieznanych, masa anegdot, wreszcie drobiazgów, wyjątków z dawnych pism peryodycznych i rzadszych książek, wypełnia ten tom i świadczy o skrzętnej pracy wydawcy p. Bartoszewicza, aby zachować od zatraty rzeczywiste perły humoru polskiego.

I. Die Musik in Polen. — I. Das Theater in Polen. — Skizzen. — Verlag: Polnisches Ausstellungscomité. Wien 1892. 8^o str. 39.

Jest to komentarz dla zwiedzających dział polski na wystawie wiedeńskiej. Celowi temu książeczka w zupełności odpowiada. Zwięzły rys dziejów muzyki w Polsce wyszedł z pod cennego pióra dra Bylickiego; dzieje zaś teatru opracował bardzo starannie p. Alfred Szczepański.

Robert Buchanan. «W chwilę po śmierci». Z angielskiego przełożył Anatol Krzyżanowski. 8^o str. 146.

Jaki cel ma ta książka i do jakiej kategorii ją zaliczyć, niewiadomo. Dziwne w niej pomieszanie rzeczywistości z fantazją chorobliwą. Autor jest widocznie spirytystą, i to spirytystą oryginalnym, ale nie zajmującym. Opowiadając o wypadkach rzeczywistych, składa dowody wielkiej zręczności pisarskiej

i przykuwa do swej opowieści uwagę czytelnika; fantazmagoryą swą natomiast nuży.

Motylek z Norske pohadky, romans Edwarda Jelinka, wydała z ilustracjami Artura Scheinera «*Vilimkova Ilustrowana knihovna rodinná*». Autor oprowadził czytelnika po Petersburgu, Rzymie, Paryżu, Warszawie, odsłania mu wnętrza litewskiego dworku. Ścierają się tu przedstawiciele gnębionej Polski, w kontraście do swych gnębieli, Rosyan.

Dla miłośników muzyki nie obojętną będzie wiadomość, że u Tischbakera w Paryżu wyszła monografia: «*Edward Grieg, et la musique scandinave* par Closson. P. Closson stawia Griega bardzo wysoko, posuwa się jednak za daleko, przypisując mu stanowisko równe, jak to, które zajmuje np. Mozart lub Chopin. W każdym jednak razie praca ta mimo przesadnego entuzjazmu dla Griega, zasługuje na uwagę, podaje bowiem wyczerpujący obraz życia i działalności znakomitego bądź co bądź muzyka.

Nowa Biblioteka uniwersalna. Mamy przed sobą 9-ty zeszyt VI rocznika tego wydawnictwa (za wrzesień). Na treść składają się: arkusze 1—2, tomu II Pism pomniejszych ks. Waleryana Kalinki; arkusze 6—8, Obrządków i szkiców *Abgara-Soltana*; arkusze 13—14, Szkiców i rozpraw T. B. Macaulaya w tłum. St. hr. Tarnowskiego; w reszcie ark. 9—11 (dokończenie) L. Szumskiego Wspomnień o trzecim pułku ułanów. Ogółem tedy zeszyt obejmuje 8 arkuszy druku. W obec bardzo przystępnej ceny, wydawnictwo to krakowskiej Spółki wydawniczej polskiej, redagowane starannie przez p. M. Matule, winno zetelną przysługę oddać szerokim kołom niezamożnych czytelników, którzy prenumerując Nową Bibliotekę uniwersalną, przyjdą w posiadanie wielu cennych dzieł tak małym kosztem.

Beecher Stowe. Podjadki szczęścia rodzinnego. Przekład z angielskiego. Z przedmową Estei. Warszawa 1891. 8^o str. 168.

(*ski.*) Amerykańska autorka zastanawia się nad tymi drobnymi dysonansami, które nieraz psują całą harmonię pojęcia rodzinnego. Tendencja bardzo uczciwa, opracowanie literackie wyborne, ale morałów stanowczo za wiele, a pani Stowe wygłasza je tonem purytańskiego kaznodziei, co trudno poczytać za zaletę. Książkę poprzedza barwnie napisana przedmowa Estei.

«*Život a smrt*», taki tytuł nosi najnowszy zbiorek poezyj Jarosława Vrchlickiego, wy-

dany nakładem Bursika i Kohouta w Pradze.

Nakładem Lemerre'a w Paryżu wyszły dwie nowe prace Coppe'ego: «*On rend l'argent*» i «*Cure de misere*», pod wspólnym tytułem «*Vrais riches*». Celują one właściwym Coppéemu polotem i subtelnością wykończenia.

Pomieniona firma wydała także pośmiertne poezye Pawła Schafera, autora zapoznanego za życia, który jednak obecnie coraz więcej zyskuje sobie wielbicieli. Utwory Schafera jaśnieją świeżością, a co do formy czynią zadość najwybredniejszym wymaganiom. Tomik świeżo wyszły podnosi krytyka z wielkim uznaniem.

NEKROLOGIA.

Michał Kovacs, węgierski malarz historyczny, zmarł w Budapeszcie w 74 r. życia. — W Schoeneberg zmarł ceniony malarz Juliusz Huth, w 54 r. ż. Specjalnością jego były sceny z życia żeglarzy, które znał wybornie, służył bowiem czas jakiś w marynarce jako kapitan okrętowy. — W Brukseli zmarł znany malarz rodzajowy Józef Stevens, w 70 r. ż. — W Ausbach zmarła Henryeta Feuerbach, wdowa po frejburgskim archeologu, a macocha słynnego malarza bitew. — Franciszek Zdenek Skenhersky, kompozytor czeski, zmarł w Budziejowicach.

Paulina Zbyszewska, nad obcą dołą bolejąca, a zawsze do ofiar, dla dobrej, słusznej sprawy, gotowa, filantropka, zmarła w Warszawie. Testament szlachetnej założycielki warszawskiej ochrony, oznaczonej numerem 27, przeznaczają dla tegoż zakładu 15.000 rs., 15.000 rs. na kasę Mianowskiego, nadto 10.000 rs. na warszawską szkołę rzemiosł.

Karol Rypiński, uczeń profesora Rustena i Smokowskiego, wychowaniec wszechniczy w Wilnie, zmarł tamże. Ś. p. Rypiński celował w malowaniu miniatur i portretów akwarelowych. Swego czasu był współpracownikiem «Albumu» Wilczyńskiego, a pod koniec życia utrzymywał się z lekcji rysunku.

Adam Marczewski, sufler opery teatrów warszawskich, zmarł tamże w 54 roku życia. Ś. p. Marczewski przez lat 35 był zajęty w teatrze. Początkowo był chórzystą, a obowiązki suflera pełnił od lat 15.

Prof. Józef Korzinek, zasłużony pedagog i publicysta czeski, zmarł w Zral. Winohradzie, d. 14 z. m., w 63 r. życia.

W Berlinie zmarł Albert Wolff, nestor niemieckich rzeźbiarzy.

OD REDAKCYI.

Z dniem wyjścia niniejszego numeru, t. j. z dniem 15 września b. r., obejmuje administrację dwutygodnika «Świat» księgarnia Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie.

Z tego względu prosimy prenumeratę miejscową i zamiejscową, zaległą i bieżącą, oraz wszelkie listy w sprawach administracyjnych, jak reklamacye, ogłoszenia i t. d., nadsyłać pod adresem:

Jakubowski i Zadurowicz, księgarnia nakładowa i administracya „Świata“
Lwów, Plac Maryacki.

Rękopisy, korespondencye i wszelkie listy w sprawach redakcyjnych prosimy wysyłać i nadal pod dotychczasowym adresem:

Redakcyja „Świata“ — Kraków, ul. Floryańska Nr. 40.